**Miesięcznie 1 zł**
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. **30** groszy

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 27 czerwca 1937 r.* Nr. 26



## *List z nad morza*

*Chcę napisać dziś do Was swój z wakacyj list
pierwszy.
Będzie on krótszy może, lecz od poprzednich
szczerszy.*

*...Bo jakże tu z tym się kryć, że brakło mi
przestrzeni
I tej fali, co bryzgiem wciąż tęczowym się mieni,
A szumem swoim koi smutki wielkie i małe.
— W niepamięć zapadły przykrości zastarzałe,
Kamienie krzywd i żalów opadły na głębinę — —
Szczęśliwa jestem słońcem, błękitem, morzem sinym
I ciągłą melodią fal, których nuta tak rzewnie
Przemawia mi do ucha... i ukojnie i śpiewnie.*

*— — Codzień rano w twarz wieje rzeżki oddech
wód słonych,
Słońce wstaje w opalach od wschodu nieboskłonu.
I jakże — spoglądając na świetlistą tę drogę —
Nie czuć się zdala od ludzi, a bardzo blisko
Boga?...*

*Wybaczcie, że w liście tym stale się wątek
zmienia —
Taka jestem szczęśliwa...
— Bywajcie!
— Dowidzenia!*

*Danuta Wyrybkowska*

WOJCIECH HOLM

# Nienawiść a miłość

*czyli tajemnica zamku Felseg*

— To Waker! — Serce mi mówi, że to on — rzekła Fides.

Mama Snob uciekła, panienki poprawiły sobie fryzury przed lustrem i zawołały:

— Proszę!

Ale omyliły się obie, gdyż nie był to ani Waker, ani Tulliwer, tylko kelnerka, która przyniosła dwie wizytówki od oczekiwanych.

— Prosić! — zawołały obie równocześnie.

Pobiegły czemprędzej jeszcze do lustra, po tym z wdziękiem usadowiły się na kanapie.

Panowie Tulliwer i Waker byli w nienagannych strojach wizytowych, trzymając cylindry w rękach.

Usprawiedliwili się bardzo uprzejmie, że już tego samego dnia ośmielili się przyjść z wizytą, ale szkoda im każdej chwili, którą mogą spędzić razem z rodaczkami.

Duże uszy zarumieniły się panienkom z radości na te komplementy.

Zaczęły zawracać oczyma w sposób wprost niepokojący i chichotać jak podlotki.

Niezadługo weszła mama Snob i powitała ich bardzo serdecznie.

Nieomieszkała po krótkiej rozmowie opowiedzieć gościom, że papa Jeremiasz Snob miał w Sardynii duży dom handlowy, który pod jego firmą do dzisiejszego dnia jeszcze istnieje, że jednak cofnął się już w życie prywatne, chociaż to dużo kosztuje, bo jest dobrym ojcem.

Tulliwer i Waker słuchali tego z wielkim nabożeństwem, po tym odpowiedzieli, że także chcą zwiedzić świat, jak to gentelmanom przystoi, a na nieśmiałe zapytanie mamy Snob jakiemu oddają się zawodowi, odpowiedzieli, że nie mają żadnego innego zawodu, prócz zawodu gentelmanów.

Że wprawdzie nie są tak ciasnych poglądów, żeby pogardzali urzędnikiem albo kupcem, ale sami jako synowie „takich" rodziców nie potrzebują żadnego zarobku.

Tulliwer mianowicie był młodszym synem księcia Somersetshire, a jego przyjaciel Waker był synem hrabiego Bogshowt.

Wiadomość ta była balsamem na serca panien Snob.

Inez widziała się już synową księcia, przedstawioną na dworze królewskim i w dworach szlacheckich, a Fides miała śmielsze jeszcze fantazje.

W jednej chwili uprzytomniła sobie, jakto epidemia zabierze w jednym tygodniu na tamten świat starego hrabiego Bogshowt i jego dwóch synów, a ona ze swoim mężem będzie królowała na zamku hrabiowskim.

Pływały więc w rozkoszy i rozmawiały bardzo swobodnie, bardzo wesoło i cieszyły się, gdy omawiano na następne dni wspólne wycieczki.



Piękny taniec hawajski na amerykańskim statku wojennym, który w porcie Honolulu, stolicy pięknej Hawai, zatrzymał się na krótko. Na górnych pokładach rozbawieni marynarze, na dolnym dziewczęta wykonujące taniec narodowy.

Gdy goście się pożegnali i odeszli, były takie uradowane, że zapomniały już o kłótni i w najlepszej zgodzie omawiały, jakie sobie każą uszyć ślubne suknie.

Podczas gdy one tak rozpływały się w wizjach świetnej przyszłości, panowie Tulliwer i Waker we wspólnym mieszkaniu prowadzili rozmowę, której by one z pewnością nie były zrozumiały.

— Czy te dwa stare szczupaki pójdą na wędkę — spytał Tulliwer cynicznie.

— Żeby się to tylko opłaciło za tyle ości — odpowiedział Waker z uśmiechem — musimy zasięgnąć informacyj.

— Napiszę do Grega — rzekł z namysłem Tulliwer — on się postara dowiedzieć o wszystkim.

Waker zgodził się i Tulliwer zasiadł do pisania listu, który był bardzo dziwny, bardzo krótki i zawierał dziwaczne jakieś wyrazy.

Sam zaniósł list na pocztę i po drodze spotkał swoich znajomych.

Zagadnął starszą pannę Snob i opowiedział jej ze znaczącą miną, że właśnie pisze do ojca księcia Sommersetshira i że wspomina o niej w tym liście.

Wiadomość ta tak zaintrygowała pannę Inez, że spędziła bezsenną noc namyślając się, czy lepiej będzie urządzić ślub w Rzymie, czy dopiero w Londynie.

## ROZDZIAŁ CXXXV

### Niedobrze jest podsłuchiwać

Lola Wimpfen, po swej kompromitacji, nie mogła wysiedzieć w Mediolanie, ale do Austrii nie chciała wracać z obawy przed plotkami.

Pojechała więc do Turynu i tam prowadziła pustelnicze życie.

Cały dzień siedziała w domu zadumana albo zaczytana. Rzadko kiedy jeździła na spacer; jadała zawsze u siebie, zresztą wysiadywała tylko przy książce, albo przy oknie i gapiła się na ulicę.

Pewnego razu zobaczyła zatrzymujące się przed hotelem dwa powozy.

W jednym pilnowali bagażów kamerdyner i garderobiana, w drugim poznała Egona i żonę.

— Podróż poślubna! — szepnęła do siebie — chyba się tu dłużej nie myślą zatrzymywać.

Widok znajomego z Wiednia i Ady Dornbruch, którą Lola poznała na balu, na którym królowała, a było to przed rokiem, skłonił baronową do porównania ówczesnej swej sytuacji z obecną.

Ileż zmieniło się od tego czasu! Przed rokiem cały świat leżał u stóp jej w uwielbieniu ,dziś ona musiała się ukrywać przed oczyma świata ,jak zbrodniarka.

Lekkomyślność jej własna przyprawiła ją o pogardę i szyderstwo! Musiała cierpieć za własne winy.

Szelest za ścianą przekonał ją, że baron Sturmfeder będzie jej najbliższym sąsiadem.

Widocznie zasiadali do stołu, bo od czasu do czasu słychać było głos jego, albo jej wydający rozkazy.

Następnie płatniczy przyniósł im księgę hotelową i goście wpisali się i

przeglądnęli spis współmieszkańców hotelu.

— Baronowa Wimpfen jest! — zawołała nagle Ada, bardzo się z tego cieszę, bo przyznam ci się, że nie jestem tego zdania, aby młoda para koniecznie musiała być samą. Zapoznamy się z nią. To, że ona ciebie będzie kokietować, wcale mnie nie martwi, bo na szczęście nie mam talentu do zazdrości.

Teraz zamknęły się drzwi.

Widać było, że kelner wyszedł.

— O tem nie ma obawy — odpowiedział Egon — żeby przestawać z baronową.

— A to dlaczego? — obruszyła się Ada — chyba mi wolno dobierać sobie znajomości!

— W tym wypadku jednak będziesz mnie musiała posłuchać — powiedział baron chłodno. — Ja muszę żądać, żeby moja żona, przynajmniej jak długo nosi moje nazwisko, nie kompromitowała się.

Ada nie dała tym razem odpowiedzi.

— Chybaś nie słyszała — mówił dalej Egon — o jej skandalu! Opowiem ci, i niech to dla ciebie będzie przestrogą.

Baronowa, która słowo w słowo podsłuchiwała całą rozmowę, widziała teraz w jego słowach okropne potwierdzenie wyroku, jaki o niej wydał świat.

— Baronowa Wimpfen dla naszych kół przestała istnieć — opowiadał Egon. — Tylko stosunkom swoim zawdzięcza, że nie weszła w konflikt z policją włoską.

Była ona notoryczną kochanką tego sławnego mordercy i bardzo być może, że była wtajemniczoną w jego plany. Od tego podejrzenia uchroniło ją tylko to, że twierdziła, iż on podobno i na nią urządził zamach. Kto wie, czy ona też nie jest pod tajnym nadzorem policji. Ja jej się nie ukłonię, gdy ją spotkam i mam nadzieję ,że moja żona będzie miała tyle taktu, aby postąpić tak samo.

Patrzono przez palce na jej miłostki z nieboszczykiem księciem Iffalwim, a potym z owym studentem, ale ostatecznie wszystko ma swoje granice. Cały Wiedeń mówi jedno: Baronowa Wimpfen stanowczo jest wykluczona z kół naszego towarzystwa. Nie istnieje wcale, albo istnieje jako ordynarna dziewka!

— Ktoś krzyknął — zawołała teraz Ada — słyszałeś także ,czy mi się tylko zdawało?

— Musiało ci się zdawać — odpowiedział Egon obojętnie.

Ada myślała sobie w duchu ,że ona byłaby o wiele ostrożniejsza, i że historia z malarzem musi już być dawno zapomniania.

Egon przypatrywał się jej z za kółka dymu papierosowego i namyślał się, czy też przestroga, którą jej dał między wierszami tego opowiadania — poskutkowała.

Tymczasem za ścianą na otomanie leżała baronowa Wimpfen zemdlona.

Gdy ją przed wieczorem ocuciła przestraszona służąca, wydała słabym głosem rozkaz do odjazdu.

Bezsilnie przypatrywała się pakowaniu rzeczy i dopiero w wagonie, którym uciekała od spotkania się ze Sturmfederami, zaczęła okropnie płakać.



Własne czyny lekkomyślnej niewiasty powstały przeciwko niej, niczym zbrojne wrogi i nie dawały jej chwili spokoju ani odpoczynku.

## ROZDZIAŁ CXXXVI

### Kłótnia domowa

Pani Hai zrywała się zwykle bardzo wcześnie; biegła budzić służbę i po tym dopiero wracała, aby robić toaletę.

Rady męża, aby sobie sprawiła lepiej dzwonek do kuchni, nie słuchała w obawie ,że służące na odgłos dzwonka odwróciłyby się tylko do ściany.

Nazajutrz po ucieczce Idy, zbudziła jak zwykle służące, potem jednak nie wróciła do siebie, lecz poszła na górę do pokoiku Idy i tam otworzywszy drzwi zawołała:

— No, cóż, namyśliłaś się głupia gąsko?!

W następnej chwili jednak stanęła przerażona z szeroko rozwartymi oczyma. Pokój był pusty, łóżko nietknięte.

Przyszło jej na myśl, że może Teobald wbrew jej woli, dał Idę na pensję.

Poszła więc popatrzeć na jej rzeczy i zobaczyła, że nowy jej kostium wisi tam, a starej sukni, którą dostała na konfirmację nie ma.

— Psiakrew! — zaklęła pobożna pani Hai — korzystając z tego, że nikt jej nie słyszał — żeby to jasny szlak trafił! Stare suknie jej tu zostawił, żeby mnie zmylić, a z pewnością sprawił jej 5 nowych! Ale ja mu pokażę temu chłystkowi!

Pobiegła natychmiast do niego jak furia, tak jak stała z rozpuszczonymi włosami i zsuniętym na tył czepkiem. Pan Teobald nigdy nie stosował się do znanego przysłowia: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje".

To też spał jeszcze w najlepsze, gdy rozłoszczona matka, trzęsąc nim silnie, zawołało mu tuż nad samym uchem:

— Gdzieś podział Idę?

— Co mama mówi? — zerwał się Teobald przestraszony.

— Nie udawaj głupiego — krzyczała pani Hai — nie ma jej w domu, ale ty przecież wiesz, gdzie się podziała.

Te słowa natychmiast otrzeźwiły rozespanego Teobalda.

— Co? — zawołał, wyskakując jednym susem z łóżka — wiedziałem, że skoro mama się w to wmiesza, to zaraz narobi nieporozumienia. Głupi byłem ,że mamę słuchałem.

Mówiąc to, wkładał na siebie garderobę.

— Co, może ja temu jestem winna? — wrzasnęła pani Hai — widzę, że stałeś się bezczelnym w tym Paryżu, skoro mnie chcesz tak haniebnie oszukać.

— Nie mam zamiaru mamy oszukać — krzyknął Teobald, gniewnie tupiąc nogami — to właśnie mama nie dotrzymała przyrzeczenia i teraz musi mi pomóc poszukać Idę.

— Nie, moja cierpliwość się kończy — darła się pani Hai — co za dużo, to za dużo! Możesz sobie swego Kopciuszka do Chin wysłać, ale nie wolno mnie tak haniebnie okłamywać.

— Ależ przysięgam mamie, że nie wiem, co się z Idą stało.

Pani Hai zaczęła się śmiać wymuszenie.

— Niech mama lepiej pójdzie się ubrać ,bo się mama zaziębi, a później pomoże mi ją szukać, zamiast tutaj stać.

— Nie udawaj ,że ci chodzi o mnie, chcesz mnie się pozbyć ,ale ja wiem, żeś mi w nocy wykradł klucz i Idę uprowadziłeś.

Hania, która podsłuchiwała pode drzwiami, musiała sobie wepchnąć kułak do ust, ażeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem z tego, że jej winę przypisywano Teobaldowi.

Uciekła też zaraz do kuchni i dobrze zrobiła, gdyż w następnej chwili wbiegł do pokoju syna, pan Hai.

— Na miłość Boską — zawołał, co za niechrześcijańskie wrzaski kłócą cichy spokój mego pobożnego domu? Co się stało?

— Idy nie ma i on ją uprowadził — krzyczała zaperzona pani Hai, a równocześnie z nią wrzeszczał Teobald:

— Ida uciekła ,a mama temu winna. Jeżeli tato zginie w kryminale...

Stary przybiegł do niego i zatkał mu usta, ale on odepchnął go opryskliwie i mówił dalej:

— Jeżeli tato zginie w kryminale, to nie będę winien temu, bo ja prowadziłem sprawę jak najlepiej ,ale mama wszystko popsuła.

— Może ona jest u niego? — rzekł przestraszony pan Hai.

Teobald krzyknął z wściekłości.

— Zaraz pójdę do Spillerowej — rzekła pani Hai — bo ten Francuz jeszcze pewnie tam mieszka. Jeżeli ją jeszcze tam zastanę, no... — nie dokończyła.



Wyścig starych pojazdów w Anglii, które odbywają się corocznie na trasie Londyn — Richmond.

— Nie — zawyrokował pan Hai — ja tam sam pójdę, bo ty jesteś tak zirytowana, że mogłabyś się jeszcze skompromitować jakimś niechrześcijańskim słowem.

— Tęskno ci już do panny Cyli? — szydziła pani aptekarzowa.

— Panna Cyla jest dobrą katoliczką, którą trzymałem do chrztu i dla której mam zawsze ojcowskie uczucia — odparł pan Hai z godnością.

— Nie ma po co tam iść — złościł się Teobald — żeby w całym Wiedniu o tym mówili. On ją z pewnością tam nie ukrył. Ja pójdę do niego i wybadam go zręcznym pytaniem.

— Czekaj — powstrzymał go ojciec — jest najwyżej wpół do 7-ej. Przecież to nie pora na wizyty. A może ona jest gdzie u jakiej swej koleżanki. Do kogo ona zwykle chodziła?

— Do nikogo — wrzasnęła pani Hai — nie pozwalałam jej nigdzie włóczyć się, ażeby się nie popsuła. Wychowywałam ją po katolicku.

— Tak jest, kułakami i szturchańcami — dodał gorzko Teobald — dlatego ona zbiegła od tego wychowania.

Nagle przyszło mu na myśl, że może służące będą coś wiedziały o Idzie i poszedł do nich, ale one późno w nocy naradziły się, jak sobie postępować i postanowiły udawać, jakoby nic o niczym nie wiedziały.

— Tereniu, — zapytał Teobald słodziutko — gdzie panienka?

Ale Terenia, która przyrządzała kawę, odrzekła naiwnie:

— W swoim pokoju, proszę panicza.

— Tam jej nie ma, znikła gdzieś — odrzekł Teobald.

Terenia wydała przeraźliwy okrzyk i załamała ręce.

— Jezusie słodki — zawołała — poszła do rzeki utopić się.

Zakrywszy twarz fartuszkiem, udawała, że rzewnie płacze.

— Czy pani wczoraj kłóciła się z panienką? — zapytał Teobald, ze zmarszczonym czołem.

— Aj, tak jest. Taka awantura była, że o mało co dom się nie zawalił — opowiadała Terenia — a nasza pani biła panienkę po twarzy. Biedna, nieszczęśliwa panienka.

Weszła Hania do kuchni po śniadanie.

— Wiesz — mówiła jej Terenia wśród łez — nasza biedna panienka utopiła się tej nocy w falach Dunaju.

— Co ty mówisz? — wrzasnęła Hania — a mnie się też zdawało, że o północy, jakiś duch był w kuchni. To pewnie ona.

Zaczęły zawodzić tak głośno i żałośnie, że Teobaldowi zrobiło się nieprzyjemnie.

Przestańcie płakać! — zawołał zły — i słuchajcie lepiej, co wam powiem. Która z was wynajdzie panienkę, dostanie ode mnie 30 reńskich.

Hm! — płakała Hania — żebyśmy tylko wiedziały. Ja widziałam panienkę ostatni raz wczoraj samą i jeszcze mówiłam do Tereni:

Patrz, jaka panienka sina na twarzy, i jak jej krew idzie z ust!

Teobald z jękiem wyszedł z kuchni, a ona z tyłu zagrała mu na nosie i cieszyła się na myśl o awanturze, którą on wyrządzi matce.

Tymczasem pani Hai namyślała się pod jakim pretekstem pójść tak wcześnie do Spillerów, aby nie zwrócić uwagi. Nareszcie znalazła sposób.

Ubrała się prędko i poleciała do przyjaciółki.

Pani Spiller, wysoka, chuda, koścista dama z wygiętym nosem, sama jej otworzyła drzwi.

Jaka miła niespodzianka? — zawołała — przecież nic się nie stało, moja droga Selmo?

— Nic, dobra Agato! — uspakajała ją pani Hai — wszyscy jesteśmy zdrowi, Bogu dzięki! Nic, tylko mam prośbę do Ciebie. Chciałam Cię prosić, żebyś mi pożyczyła dywan z przed biurka swego męża, bo chciałam wyhaftować taki sam dla swego. Myślę, że skończę do Bożego Narodzenia.

— Jeżeli Ci Ida pilnie będzie pomagać, to skończysz. Ale proszę Cię pozwól do pokoju!

W pokoju zastała Cylę w bardzo niekompletnej toalecie i pana Spillera w dziurawym szlafroku; nie było jej to na rękę, bo pragnęła znaleźć się z Agatą sam na sam.

Może pozwolisz kawy? — prosiła pani Agata, posyłając Cylę po filiżankę — wprawdzie nie mogę sobie pozwolić na taką dobrą jak ty, bo stosunki...

— Przecież masz dobrych lokatorów! Taki markiz ,ile on ci płaci, jeżeli to nie jest niedyskretne pytanie?

— No, on teraz jeszcze nie może wychodzić, więc bierze wikt także, i płaci za wszystko razem 100 reńskich. Nie jest to dużo, ale zawsze jeszcze zostaje coś dla Cyli.

Pani Spiller nieomieszkała przy sposobności dać do zrozumienia pani Hai, że składa posag dla Cyli, bo wiedziała, że jest ona skąpa, a miała nadzieję, że może kiedyś Teobald ożeni się z jej córką.

— Ach! — odpowiedziała pani Hai z wymuszonym uśmiechem, ona tego nie potrzebuje, ona taka ładna, że z pewnością i bez posagu się wyda. Ot, taki markiz myślisz, nie mógłby się złapać!

— O, Boże litościwy! On już musi kogoś mieć — odpowiedziała pani Spiller. — W ten sam dzień, co wyszedł od ciebie, jeździł gdzieś fiakrem, a doróżkarz później mi opowiadał, że kupował kwiaty i jakieś kosztowności u jubilera.

— To dla mnie! — kłamała pani Hai — aby obudzić zazdrość swej przyjaciółki.

— A, to gratuluję ci! — mówiła słodko pani Agata, która w duchu nie mogła przebaczyć jej tego, że jej markiza zaraz po wypadku nie przysłała do domu, tylko wzięła go do siebie.

— A co ci kupił? — spytała Agata.

— Jak przyjdziesz do mnie, to ci pokażę!

— Spiller! Czas ci do biura! — zawołała pani Agata na męża, — gdyż pani Hai dawała jej nieme znaki, że chce z nią być sama.

— Mylisz się droga Agato — odpowiedział flegmatycznie pan Spiller zacierając ręce — mogę jeszcze całą godzinę spędzić w waszym miłym towarzystwie.

— Nie uważasz, że mój mąż tyje bardzo?

— Tak jest! — odpowiedziała natychmiast pani Hai — i nie było by to bardzo źle, gdyby nie fakt, że pociąga za sobą skłonność do apopleksji. Pamiętasz tego rzeźnika Perla!?

— Nie może być! — zerwał się pan Spiller.

— Tak jest, musi pan dużo ruchu używać.

Pan Spiller pożegnał się natychmiast i poszedł do księgarni kupić sobie broszurę o apopleksji, którą studiował cały ranek w biurze.

Teraz pani Agata zabrała się do wytransportowania Cyli.

— Cylo, idź dziecko kuchni doglądać.

— Ależ jeszcze czas, proszę mamy!

Cyla wymawiała się, lecz i na nią pani Hai wynalazła sposób.

— Panna Cyla nie lubi gospodarstwa? — spytała złośliwie.

Cyla znikła natychmiast, by dać dowód, jak chętnie zajmuje się gospodarstwem, i pani Hai natychmiast zabrała się do dzieła.

— Nie wiesz, — zapytała zaraz pani Hai — czy do markiza nie przyszła wczoraj wieczorem jaka dama?

— A gdzieżbym ja na to pozwoliła w moim domu — obraziła się pani Agata.

— No, nie gniewaj się! — mitygowała ją pani Hai. — Teobald zna go z Paryża i mówi, że jest wielkim entuzjastą dam. A listu żadnego do niego nie było?

— Nie — odpowiedziała pani Agata — od kiedy u mnie mieszka.

Pani Hai była zupełnie zadowolona, wiedząc, że Agata mówi prawdę.

— Ale uważaj na Cylę — przestrzegała troskliwie, bo kto wie...

— E, gdzietam — odpowiedziała pani Agata — myślałam, że ona się przećwiczy w konwersacji francuskiej, ale i to nie!

— A z Idą rozmawiał! — rzekła, złośliwie pani Hai.

— A, dlatego to on kiedyś tu we śnie mówił: „ma chére Ida!“ — zawołała Agata.

— Mówiłam ci już raz, że był już czas najwyższy pozbyć go się z domu, bo zawracał głowy moim dziewczętom — odpowiedziała pani Hai, żegnając się.

— Dywanik poślę ci przez służącą — przyrzekała Agata, ale pani Hai nie chciała się na to zgodzić, i koniecznie nalegała na to, że weźmie go sama.

Po długich ceregielach pani Agata przystała na to, i obie przyjaciółki pożegnały się.

Ledwie pani Hai wyszła na ulicę, wsiadła do doróżki i pojechała wprost do domu.

— Idy nie ma u Spillerów — rzekła jeszcze na progu.

Mąż i syn krzyczeli zaraz ,że niepotrzebnie się miesza w nieswoje rzeczy, bo na nic się zdała jej wymowna obrona.

— Drogo mnie to będzie kosztować — mruczał aptekarz — będę zmuszony jeszcze Sperlinga wziąć do pomocy, a wszystko przez ciebie.

Tymczasem u Spillerów miała miejsce następująca rozmowa:

Cyla: Czego ten stary kocur chciał tutaj?

Matka: Mnie się zdaje, że ona podejżywa Idę, o wizyty u markiza.

Cyla: Mnie tam nawet dziwi, jak ona u nich może wytrzymać.

Matka: A może ona uciekła i stara tu ją szukała?

Cyla: Mamo, ja pójdę po lekarstwo dla markiza do ich apteki i przy tej sposobności niby wstąpię do Idy, aby jej oddać haft, który mi pożyczyła.

Matka: To dobra myśl, tylko że jeszcze jest pół butelki lekarstwa.

Cyla: To nic, my nie będziemy płacić, a markiz się nie spostrzeże!

Matka: No, to dobrze, ale uważaj, aby cię stara nie spostrzegła, bo powie, że szpiegujesz! Dowiesz się najprędzej u najmłodszego laboratora! On jest najgłupszy i wszystko ci opowie!

Cyla, zabierając się, rzekła: — jeszcze lepiej będzie, jeżeli spotkam po drodze Hanię albo Terenię.

W kwadrans później dreptała panna Cyla niewinnie do apteki pod „Złotym aniołem“!

ROZDZIAŁ CXXXVII

**Bazar dobroczynności**

W Wiedniu panował wielki ruch. Pożar był ogromny, i zniszczył poważną ilość domów, pozostawiając mieszkańców bez dachów.

Ale arystokrację wiedeńską nie zajmował on tyle, ile pomoc dla pogorzelców.

Zaaranżowano kilka balów na ich dochód, na których uczestnicy, zapłaciwszy bardzo wysoki wstęp, bawili się wyśmienicie.

Po tym były koncerty, z których dochód przeznaczono dla zubożałych rodzin, lecz to co jeszcze projektowano, przewyższało wszystko, co dotychczas było: miano urządzić bazar dobroczynności, ze współudziałem całej arystokracji i koryfeuszów sztuki.

Hortensja była bardzo zdziwiona, gdy Luigi pewnego dnia przyniósł jej bilet, z napisem:

Hrabina Poliscena Nostiz, urodzona baronówna von der Gröben — i oznajmiał, że ta pani koniecznie z nią chce mówić.

— Dlaczegoś nie powiedział, że pana nie ma? — zapytała Hortensja — ona pewnie przyszła do ojca, nie do mnie.

— Nie — zaprzeczył stary sługa — mówiła wyraźnie, że chce mówić z panią.

Hortensja, ogromnie zdziwiona, weszła do salonu, gdzie zastała pulchniutką staruszkę o czerwonej twarzy i siwych włosach, która poprawiwszy sobie szkła, patrzyła na nią z ogromnym zajęciem.

— Czemu zawdzięczam zaszczyt przybycia pani? — zapytała Hortensja nieco zakłopotana.

— Przede wszystkim pragnęłam panią poznać — rzekła przybyła układnie.

— Niegodna jestem tego zaszczytu — odpowiedziała Hortensja chłodno, na ten banalny wstęp.

Poprosiła ją narazie ,aby usiadła.

— Zapewne słyszała już pani, jakie imprezy aranżujemy, ażeby biednym pogorzelcom przysporzyć trochę grosza — pytała hrabina. Będzie bazar dobroczynności i ja także należę do komitetu.



Młodzi hitlerowcy w serdecznej rozmowie z rówieśnikami włoskimi, którzy ich odwiedzili w Berlinie.

Sprzedawać będą wszystkie przewidziane na to drobnostki i kwiaty, najpiękniejsze panie Wiednia w kostiumach własnego pomysłu. Czy domyśla się już pani, co mnie tu sprowadziło?

— Jeżeli chodzi o pieniądze na koszta urządzenia — odpowiedziała Hortensja — to opiekun mój z pewnością ofiaruje sumę odpowiednią do swoich stosunków.

— Nie o to chodzi w tym wypadku — odpowiedziała hrabina szybko — o pieniądze wprawdzie także będziemy prosić, ale głównie chodzi nam o cudowną osóbkę pani.

Pogłaskała ją po głowie.

— Nie rozumiem — rzekła Hortensja.

— Ależ to bardzo proste! — tłumaczyła dama — chodzi tu o to, aby zechciała pani znaleźć się w towarzystwie pań sprzedających.

Kiedyś widziałam panią z ojcem i asesorem von Feldern, na koncercie. Książe Petöfy, wie pani, ten czarny, nie ten rudy, utwierdził mnie jeszcze w tym zamiarze. Ach, jaka anielska dziewczyna! — zawołał, widząc panią — nie wie pani, kto to jest? Która — pytam — a on powiada:

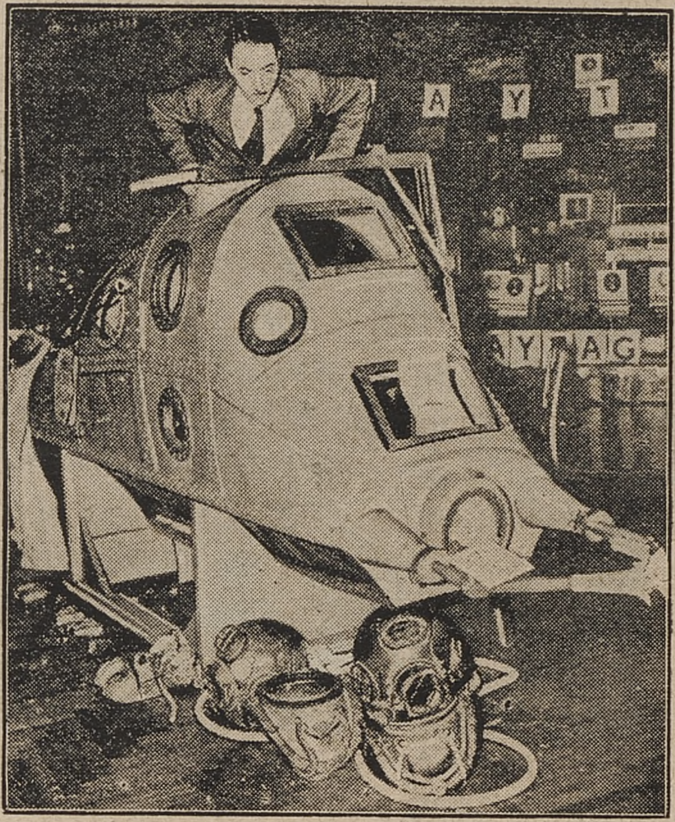
— Tu jest tylko jedna, ta blondynka w czarnej sukni. Kto to może być? — Ba, żebym wiedziała — odpowiedziałam.

Ja się muszę dowiedzieć — zawołał i poleciał, ale nie wrócił. Na drugi dzień poprosiłam do siebie na godzinę 1-szą asesora von Feldern, zaś na godz. 2-gą księcia.

Feldern zjawił się ze zwykłą punktualnością, ale bardzo mało mi o pani mówił. O drugiej godzinie przybył książe Petöfy. No, cóż książe, kto jest tą damą? — spytam.

— Pani hrabino — odpowiedział — czy zamierzasz mnie gnębić? Nie mogłem się dowiedzieć. Z towarzyszy moich nikt jej nie znał, a portier to osieł.

— Ale ja za to wiem kto ona jest! — odpowiedziałam z triumfem.



**Na wielkim, amerykańskim kongresie wynalazków, urządzonym w hotelu Edisona w Nowym Jorku, pokazano pierwszy raz tę łódź, przeznaczoną dla jednego człowieka.**

— Nie może być — zawołał uradowany. — Powiedziałam mu to, co wiedziałam, naturalnie że nie wiele, kochana pani, bo sam Feldern niewiele mi powiedział, i powiadam mu:

Poproszę tę panią, aby także zechciała sprzedawać w bazarze! Pani — zawołał z ogniem — gdyby ona nawet modlitewniki sprzedawała, to ja i my, wszyscy kirasjerzy gwardii, zrujnowalibyśmy się doszczętnie. Widzi pani zatem, moje dziecko, jak bardzo jest nam potrzebna. Tamte wszystkie panie znane są już dobrze i mniej zaciekawiają ogół towarzystwa. Wie się, że hrabina Malz ma plamę wątrobianą na górnej wardze, baronowa Frankenberg wstawiane zęby, baronowa Reberden zezem patrzy i tak dalej... Pani będzie miała szalone powodzenie, prorokuję to pani! Rozglądniemy się za korzystnym kostiumem dla pani i wszystko będzie jak najlepiej!

Hortensja musiała cierpliwie wysłuchać tego potoku słów i dopiero, gdy gadatliwej hrabinie słów nie stało, mogła odpowiedzieć.

— Pani hrabino — rzekła skromnie, ale stanowczo, wielki to dla mnie zaszczyt, niestety, jednak nie mogę go przyjąć, gdyż jestem w żałobie.

— Co, pani odmawia? — zawołała hrabina więcej zdziwiona niż obrażona — niech się pani namyśli! Proszę pomyśleć, że w ten sposób weszłaby pani w koła, do których do tej pory nie miała pani przystępu. Będzie tam pani niezwykle honorowaną; a zresztą będzie to przecież nie tylko zabawa, ale przede wszystkim cel dobroczynny.

Żałoba więc w tym wypadku nie przeszkadza. Przypuszczam, że to raczej nieśmiałość skłania panią do odrzucenia tego zaproszenia. Lecz poproszę jeszcze opiekuna pani, a pan Gellini z pewnością wpłynie na zmianę decyzji! Może pani każe poprosić pana Gelliniego?

Hortensja, mając podwójną żałobę w sercu po matce i po mężu, ani myślała zasiadać w komitecie i miała nadzieję, że ojciec ją poprze, więc zadzwoniła na służącego, by go poprosił.

Gdy zjawił się, pani hrabina z ogromną wymową przedstawiła mu całą sprawę w tym świetle, że przez odmowę Hortensji, cała akcja dobroczynna ucierpi bardzo wiele i w konsekwencji poczciwy staruszek starał się nakłonić Hortensję, aby zdecydowała się przyjąć zaproszenie.

— Ależ nasza żałoba, drogi ojcze! — broniła się Hortensja.

— A czyż żałoba ma nas powstrzymywać od pomagania nieszczęśliwym — mówiła hrabina — gdzieżby w takim razie był prawdziwy duch naszego katolicyzmu?

Ostatni argument przekonał Gelliniego w zupełności.

— Pani hrabina ma słuszność — rzekł do swej córki — nie powinnaś odmawiać, moje dziecko!

— Pójdę, jeżeli ty sobie życzysz tego, kochany ojcze — zgodziła się wreszcie Hortensja, ale w duszy bardzo niezadowolona była z tego obrotu rzeczy.

Uradowana hrabina żegnała się wśród potoku słów, przyrzekając, że nazajutrz zjawi się znowu, aby umówić się co do kostiumu.

Teraz rozpoczął się niespokojny czas dla Hortensji, gdyż hrabina codzień wioziła ją gdzieindziej, aby ją przedstawiać coraz to innym członkom komitetu.

Z początku tylko miała to na oku, żeby swoją protegowaną przewyższyć inne panienki z towarzystwa, później jednak polubiła ją szczerze i żałowała tylko, że Hortensja nie pochodzi z szlacheckiego rodu.

Mąż, który znikł, nie uchodził w jej oczach za nic złego, jak długo nie zjawiał się na horyzoncie, by stawiać przeszkody i utrudniać życie.

W drodze do krawcowej rzekła hrabina trochę nieśmiało:

— Hortensjo! Muszę panią uprzedzić, że ta krawcowa w Wiedniu jest tak dalece sławna, że płaci jej się za fason 500 złotych. Jest więc bardzo wymagająca.

— Pięćset złotych? — powtórzyła Hortensja zdziwiona — byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby mój opiekun miał płacić za mnie tak duży rachunek. Możebyśmy pojechały do jakiej tańszej krawcowej...

— O to niech się pani nie obawia — uspakajała ją hrabina z zadowoleniem — mówiłam to wszystko panu Gelliniemu i on się zgodził, to jest prawdziwy gentleman i bardzo dobry człowiek. Musimy tylko być dla tej krawcowej bardzo grzeczne, aby uszyła nam kostium ładnie i szybko.

Stanęły przed bardzo eleganckim domem, weszły na górę po schodach przykrytych dywanem i zadzwoniły do drzwi, na których widniał napis:

„Madame Breitinger, krawcowa".

Lokaj zaprowadził je do elegancko umeblowanego salonu, gdzie czekało cierpliwie kilka dam ze sfer arystokratycznych na swą kolej rozmowy z panią Breitinger.

Gdy wreszcie kolej przyszła na hrabinę i Hortensję, wprowadzono je do wspaniale urządzonego buduaru, w którym przyjęła je bardzo uprzejmie pani Breitinger, kobiecina skromnie ubrana i spoglądająca na nie przez duże okulary.

— Moja kochana pani Breitinger — rzekła do niej łaskawie hrabina — przyprowadzam pani moją młodą przyjaciółkę, dla której chciałabym poprosić panią o usługi.

— A, tak, to co innego — odpowiedziała pani Breitinger spokojnie. — Myślałam właśnie, że pani hrabina już absolutnie nie ma figury, zaś plecy tak okrągłe, że najpiękniejszy krój już idzie na marne. Robota dla panienki opłaci się lepiej. A co to ma być? Balowa, czy salonowa toaleta?

Hrabina Nostiz wcale nie była obrażoną słowami pani Breitinger, przeciwnie, cieszyła się, że Hortenzja od razu została przyjęta.

W dalszej rozmowie okazało się, że pani Breitinger robi już kostiumy dla trzech panienek, każdej inny, zależnie od tego, co będzie sprzedawać.

Hortensja miała sprzedawać rozmaite obrazy i szkice.

— Poco sobie pani pozwoliła nałożyć taki ciężar — mruczała pani Breitinger niezadowolona — to idzie o wiele gorzej niż kwiaty, albo napoje i przekąski. Chociaż, u pani wszystko będą kupować. Tylko, że kostium trudno dobrać do tego. Muza, to zanadto klasyczne. Ja się namyślę, niech panie będą łaskawe pofatygować się jutro.

— Doskonale! — hrabina była bardzo zadowolona z przyjęcia u Breitingerowej.

— Jaka ona dziś była uprzejma — mówiła hrabina już na schodach — musiała jej się pani bardzo podobać, bo ona przeważnie jest ogromnie nieznośna. Raz, gdy do niej przyszłam z moją bratanicą, hrabianką Zuzanną Nostiz, powiedziała nam wprost, że dla niej nie będzie robić. Wprawdzie biedna Zuzia

ma szkaradną figurę, ale zawsze, powinna była... ona tyranizuje nas wszystkich za nasze drogie pieniądze. Raz powiedziała baronównie Schönnich:

— Pani ma taką cerę, że ja nie mogę dobrać pani koloru do twarzy.

— Albo, innym razem znowu powiada — ciągnęła dalej hrabina:

— Pani ma chód jak kucharka, to naturalnie, że fałdy tej sukni nie będą rzucały się należycie.

Czego ona nam już nie nagadała. Ale znosimy wszystkie jej impertynencje, bo ona ma szyk lepszy niż paryski i jest „królową mody".

Gdy na drugi dzień hrabina i Hortensja zjawiły się znowu, Breitingerowa miała już obmyślony kostium dla Hortensji i z pomysłu swego była bardzo zadowolona. Prosiła tylko o ścisłą tajemnicę, dla tym większego efektu, tak dalece, że nawet samą hrabinę nie chciała wtajemniczyć, co staruszkę naprawdę już rozgniewało.

Dopiero, gdy Hortensja stanowczo się temu sprzeciwiła, zgodziła się, pokazała próbki i rozwinęła cały plan.

Hrabina tak była zachwycona, że natychmiast zapomniała o swoim gniewie i dopiero w powozie rzekła do Hortensji:

— Gdyby nie pani, kochana Hortensjo, byłaby mnie Breitingerowa wyrzuciła i rozmawiała z panią przy zamkniętych drzwiach.

Pani Breitingerowa wymyśliła dla Hortensji kostium stylowy, staroświecki, niezwykle piękny.

Biały, jedwabny gorset, haftowany srebrem, kołnierzyk koronkowy naokoło szyi. Narzutka z niebieskiego jedwabiu, staniczek i bufiaste rękawy, składały się na kostium, w którym Hortensja wyglądała wspaniale.

Jasno - niebieska spódnica była podpięta do góry, okazując z pod spodu białą jedwabną spódnicę, oblamowaną srebrem.

Na głowie miała zgrabniutką aksamitną czapeczkę, z pod której blond jej włosy, spadały w pięknych lokach.

Damy przy innych stołach patrzyły na rywalkę z prawdziwą zazdrością.

Były tam rzeczywiście wspaniałe i oryginalne kostiumy i niebrzydkie twarze, ale królowała stanowczo Hortensja.

Nawet owa wdzięczna nieśmiałość, z jaką weszła do wspaniale ozdobionej sali, podnosiła urok jej postaci.

Sale, w których odbywała się impreza, zasłonięte były szczelnie od światła dziennego i oświetlone rzęsiście świecami.

Ściany udekorowano egzotycznymi kwiatami, a dla sprzedających ustawiono zgrabne budki, stylowo dostosowane do kostiumów.

Jedna z baronówien von Frankenberg, w kostiumie południowo - francuskim, miała urządzony u siebie mały salonik do picia i sprzedawała szampany i wina francuskie.

Jej siostra w pięknym kostiumie chińskim, z złotymi szpilkami we włosach, sprzedawała chińskie nipy.

Inna pani w kostiumie Flory, sprzedawała wonne kwiaty.



Onegdaj, komendant i jeden z wyższych oficerów francuskiego krążownika szkolnego, złożyli wizytę prywatną francuskiemu attaché marynarki. Na zdjęciu widzimy François-Ponceť'a, jego małżonkę oraz obu oficerów.

Tam rosyjska chłopka sprzedawała wyroby skórzane, tu cisnęła się przez tłum cyganka, narzucając się z przepowiedniami.

Gdzieindziej dwa duchy podziemne sprzedawały drogie kamienie.

W ogóle, co tylko dało się wymyśleć, było w tym tłumie wesołym i szumnym.

Zabawa była tak bardzo wesołą, że trudno było uwierzyć ,iż to akt chrześcijańskiego miłosierdzia.

Hortensja , która wśród tego tłumu siedziała w budce urządzonej w stylu staroniemieckim, z początku nie mogła stłumić niemiłego uczucia.

Dopiero później, dzięki zabiegom poczciwego Felderna, odzyskała równowagę.

Asesor prosił ją, aby mu wybrała ładną akwarelę i zapłacił za jeden mały obrazek banknotem tysiącztotowym.

Po tym, objaśniał ją co do towarzystwa i przedstawiał jej panów.

Panowie, którzy tłumnie oblegali jej budkę ,odchodzili przeważnie bardzo niezadowoleni. Nie znaleźli tam bowiem tego, czego szukali, konwersacji w tonie flirtu, gdyż Hortensja odpowiadała uprzejmie, lecz obojętnie.

Inaczej było w hali szampańskiej. Sprzedająca tam panna Lui, wprawdzie zezowata i miała wstawiane zęby, ale umiała panów zabawić dowcipami, żartami i werwą.

Rudemu księciu Petöfyemu, do kolorowej szklanki, zamiast wina, nalała wody i razem z całym towarzystwem śmiała się ogromnie, gdy on po pierwszym łyku zatrząsł się ze zgrozy.

Skąpego barona Grewenitza zmuszała wprost, żeby pił dużo, a potem policzyła mu za każdy kieliszek sto złotych.

Hortensja właśnie zajęta była przekładaniem szkiców kilku starszym panom, gdy wszedł do jej budki wysoki oficer gwardii. Stanął u wejścia i czekał cierpliwie ,aż tamci panowie odeszli.

Wówczas usiadł przy niej.

Co pan rozkaże — zapytała Hortensja — obraz olejny, pastel, akwarele, szkice ołówkiem, czy farbami?

Na miłość Boską, pani! — zawołał oficer, komicznym ruchem zatykając uszy — miej pani litość nade mną! Jakże wybrać z tego? Niech pani swymi pięknymi rączkami poda mi pierwszy lepszy obraz ,a będę zachwycony.

Hortensji nie podobała się ta rozmowa. Rozglądała się niezdecydowana między swymi obrazami, gdy wszedł Feldern i przywitawszy się z oficerem, przedstawił go Hortensji.

— Książe Piotr Petöfy.

— Czarny Petöfy — powtórzył oficer z głębokim ukłądem — którego należy odróżnić od jego zwierzchnika w tamtej budzie, czerwonego Petöfy'ego!

— Proszę, wybrałam księciu najładniejsze rzeczy, które mam, proszę wybierać!

— A kto to malował te obrazy? — pytał książę, udając oburzenie.

Hortensja wymieniła mu nazwisko sławnego malarza.

— O, on musiał być podchmielony kiedy „to" malował, albo może to jego grzech młodości? Mój kamerdyner podziękuje mi za służbę, jeżeli mu ten obraz każę powiesić w pokoju. Ale, jeżeli pani każe, poświęcę się i kupię go. A ile mam za to zapłacić?

— Nie kładzie się tamy dobroczynności — odpowiedziała Hortensja — niech książe sam oceni!



W okresie kanikuły najpraktyczniej urządzają się małe bąki...

— Jestem chwilowo bardzo biedny — odpowiedział książę, wyjmując pieniądze z kieszeni — oto wszystko, co w danej chwili mogę z bólem serca zaofiarować.

Mówiąc to podał jej 5 tysięcy złotych.

Hortensja zarumieniła się cudnie.

— Książę! — rzekła uradowana — w imieniu dobrej sprawy dziękuję serdecznie za ten wspaniały dar.

— Właśnie, ta dobra sprawa — odpowiedział poufale książę — znudziła mi się już. Dla tych pogorzelców zatańczyłem się już prawie na śmierć. Jeszcze teraz rujnuję się dla nich, żeby z nich zrobić milionerów, a jeżeli potem, jako żebrak, przyjdę do nich po wsparcie z moich własnych pieniędzy, zrobią mnie w najlepszym razie kuchcikiem, albo każą paść gęsi.

Nie wyobrażając sobie tego eleganckiego oficera w roli kuchcika albo pastucha, zaśmiała się Hortensja serdecznie, a książę zadowolony, zmienił temat rozmowy.

— Cóż to za monstrum ten krajobraz! — zawołał oglądając jeden z obrazów. — Mam nadzieję, że szczęśliwy artysta nie stoi tu gdzieś w pobliżu i nie słyszy mej krytyki.

— Właśnie, że stoi, zawołał jakiś głos z tyłu — i jest głęboko dotknięty!

Oficer obejrzał się, za nim Hortensja i zobaczyła człowieka zupełnie do niego podobnego, tylko rudego.

— A, to ty — rzekł książę — niedbale, podając mu rękę.

— Tak jest ja!

— Cóż słychać, Pietrek?

— Nic nowego, Pietrek, — odpowiedział rudy — gdyż był to imiennik jego, dla odróżnienia tylko nazwany czerwonym.

— Wyświadczę ci kolosalną przysługę — mówił przez nos czarny Petöfy — chociaż właśnie za ten kiepski dowcip udawania autora tego obrazu, nie zasługujesz na to.

— Pozwoli pani! — rzekł, zwracając się do Hortensji — że przedstawię pani księcia Piotra Petöty'ego. Ten człowiek ma to kolosalne szczęście, że jest moim kuzynem i imiennikiem.

— To kolosalne szczęście, mój synu, — odpowiedział rudy, kłaniając się nisko, jest zupełnie po twojej stronie, gdyż jestem o trzy dni starszy od ciebie i nazwisko to noszę dłużej.

— Czy nie zechce książę w interesie naszych nieszczęśliwych kupić u mnie jaki obraz? — zapytała go Hortensja.

— Radbym, z całej duszy — odpowiedział — ale baronówna Frankenberg zniszczyła mnie doszczętnie, a kredytu tutaj nie ma.

— Owszem! Słowo księcia znaczy tutaj również tyle, co pieniądz gotowy — odpowiedziała Hortensja.

— Nie, ja to lepiej zaaranżuję — zawołał rudy — wybiorę sobie obrazek, a kuzynek zapłaci. Urządziliśmy się tak, że ja mam rozum za nas obu a on pieniądze!

— Nie, twoja zarozumiałość jest jeszcze większa, niż twoje długi! — śmiał się czarny Petöfy. — Ale możesz wziąć! Zapłacę, jeśli pani zadowoli się nędznymi resztkami mojej gotówki.

Jeszcze rudy Petöfy wybierał sobie obraz, gdy powstał szmer w sali.

— Cesarz! — szeptał jeden drugiemu. Całe towarzystwo zrobiło szpaler, kłaniając się nisko, gdyż rzeczywiście zjawił się na sali cesarz, prowadząc pod ramię dostojną małżonkę, za nim zaś kroczył cały orszak arcyksiążąt i arcyksiężniczek.

Cesarstwo łaskawie odpowiadali na niskie ukłony, płynące z wszystkich stron, a niektórzy nawet dostępywali tego zaszczytu, że cesarz do nich przemawiał.

Przeszedłszy przez całą salę, rodzina cesarska rozeszła się swobodnie między gośćmi, a cesarz obchodził budy i robił zakupy, za które adiutant zaraz płacił.

Stanąwszy przed budką Hortensji, zdziwiony zapytał adiutanta:

— Kto jest ta ładna panienka?

— Niejaka pani Waldau, najjaśniejszy panie — odpowiedział adiutant — tylko dla swojej piękności przyjęta do komitetu.

— Waldau, Waldau! — przypominał sobie cesarz — był przed laty w mojej armii, tajny radca wojenny Waldau, ale to chyba nie może być mąż tej młodej osoby!

— Nie najjaśniejszy panie! Mąż jej nie piastuje w ogóle żadnego urzędu, i nikt nic o nim nie wie, albo umarł, albo zaginął!

— Biedne dziecko! — odpowiedział cesarz i zbliżył się do Hortensji, kupując obraz.

— Wydaje mi się pani dziwnie znajomą! — zagadnął ją łaskawie.

— Felhuber! — odpowiedziała rumieniąc się, że musi cesarzowi powiedzieć nieprawdę.

— Nie znam tego nazwiska — odpowiedział jej cesarz — ale teraz już wiem, do kogo pani podobna! Przypomina mi pani ogromnie nieboszczkę księżnę Iffalwi. Wygląda pani jak ona, kiedy jeszcze była panną Lehnsdorf. Czy pani nie jest z nimi spokrewniona?

— Nie, najjaśniejszy panie — odpowiedziała Hortensja — pochodzę z rodziny mieszczańskiej!

Adiutant zapłacił za obraz, który cesarz wybrał i Hortensja pozostała z niemiłymi wspomnieniami, jakie pytania cesarza wywołały w jej duszy.

Hrabina Nostiz zaś stwierdziła z zachwytem, że jej protegowana stała się bohaterką dnia.

Gdy cesarska rodzina wyszła, budkę Hortensji formalnie obległono.

Feldern cieszył się, że jego ubóstwiana wzbudza ogólny podziw i bolał tylko nad tym, że nie może jej nazwać swoją.

Przy obliczaniu zebranych kwot okazało się, że Hortensja zebrała najwięcej.

Hrabina Nostiz była w siódmym niebie z radości, Hortensja zaś, kiedy wreszcie mogła wrócić do siebie, zdjęła kostium, siadła w swoim cichym pokoiku, lecz nie marzyła o triumfach, które zbierała tego dnia, tylko wyjęła z biurka fotografię Leona i wpatrywała się w nią z tęsknym bólem.

Nawet tak ważne, żywe wypadki i wrażenia ostatniej chwili, nie zagłuszyły miłości w tej duszy dziewiczej!

## ROZDZIAŁ CXXXVIII.

### Uwolnienie od ciężaru

Po rozważnym namyśle, zdecydowała się Lola wrócić do ojczyzny, ale nie do Wiednia, gdzie ją wszyscy znali, tylko w zapadły kącik południowej Austrii.

Na razie zamieszkała w Trieście, gdzie z wierną Franciszką prowadziła cichy żywot, urozmaicany tylko przechadzkami.

Z obawy, aby się nie spotkać z kimś znajomym, wychodziła zawsze dopiero późnym wieczorem, biorąc ze sobą garderobianą.

Pewnego razu, gdy Franusia była niezdrowa, baronowa, która teraz nadzwy-

Ciąg dalszy na str. 517.

# Kraina szczerości i naszych trosk

**Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu**

## Dobre rady p. Zofii

### WRAŻENIA Z ROWEROWEJ WYCIECZKI NA JASNĄ GÓRĘ

*„Orlica"*. Droga Moja, listy Pani otrzymałam i odpowiadałam na nie pod pseudonimem „Orlicz", gdyż wprowadził mnie w błąd nieczytelny podpis. Bardzo Panią proszę, Kochana, o jak najwyraźniejsze podpisywanie pseudonimu.

Ogromnie jestem zachwycona pomysłową wycieczką Pani, podjętą w towarzystwie koleżanki aż do dalekiej Częstochowy.

Hallo! Drodzy „Krainiacy" posłuchajcie, jak pięknie opisuje swoje wrażenia „Orlica", a z pewnością nabierzecie chęci do pójścia w jej ślady:

„Właśnie wróciłam z dalekiej włóczęgi rowerowej, która trwała całe dziesięć dni. Zrobiłyśmy około 450 km. Ponieważ celem naszej wycieczki była Częstochowa, więc było to coś w rodzaju wycieczki - pielgrzymki.

Wyruszyłyśmy z Koźmina przez Krotoszyn, Odolanów, Ostrzeszów, Wieruszów, Wieluń — Częstochowa.

Pogoda była wspaniała, wiatr pomyślny, więc i humory nasze były świetne. A gdy za Krotoszynem wjechałyśmy w piękny las, okryty młodą bujną zielenią, rozbrzmiewający chórem ptaszęcych głosów, zdawało nam się, że nagle wyrosły nam skrzydła u ramion, bo nasze stalowe rumaki mknęły jakby nie dotykając ziemi. Piękny jest świat, nuciło coś w duszy, i dobry jest Bóg, że nam takie cuda dał. Co za rozkosz mknąć z wiatrem w zawody i wdychać całą piersią zdrowe, przepojone zapachem kwiatów powietrze majowe.

Gdy zatrzymałyśmy się w dużej wsi za Odolanowem, miałyśmy już poza sobą 55 klm. drogi. Ponieważ był to dzień świąteczny, a my, jako praktykujące katoliczki, chciałyśmy spełnić swój obowiązek, więc wstąpiłyśmy na mszę św. do kościoła. Niestety, po wyjściu z kościoła miny nam zrzedły, gdyż skonstatowałyśmy, że deszcz leje jak z cebra. Nie pozostało nam wobec tego nic innego, jak przeczekać ulewę u gospodarza we wsi. Tak też uczyniłyśmy.

Ruszyłyśmy jeszcze tego samego dnia, chociaż woda chlupała pod kołami i słońce tylko anemicznie przebłyskiwało z za chmur. Stwierdziłyśmy w pewnej chwili, że przebyłyśmy już 80 km, i słońce właśnie chyli się ku zachodowi, przeto nocujemy w przydrożnej szkole, a nazajutrz wczesnym rankiem ruszamy w dalszą drogę.

Gdy przejeżdżamy Prosnę mostem podzameckim, krajobraz trochę się zmienia. Wjeżdżamy do Wieruszowa leżącego już w byłej Kongresówce. Na ulicach pełno Żydów w chałatach i krymkach a z zaułków zażydzonego miasta wionie specyficzny, mdlejący zapach cebuli. To też oddychamy całą piersią, gdy znajdujemy się znowu na otwartym powietrzu.

Szosy są doskonałe, więc w jak najlepszym usposobieniu dojeżdżamy do Wielunia. Lecz odtąd teren się zmienia. Jest ogromnie nierówny, usiany gęsto wzgórzami, tak ,że z góry jedzie się niczem na złamanie karku, zaś pod górę, lepiej byłoby wziąć rower na plecy i nieść go, niż na nim podjeżdżać. Wieczorem docieramy do mieściny Krzepice, którą brałyśmy za wieś. Ze zdumieniem dowiadujemy się od miejscowego przystojnego organisty, którego spotkałyśmy na samym wstępie, że jest to wcale pokaźne miasteczko liczące 6000 mieszkańców. Tylko, jak wszędzie tak i tu razi żywioł żydowski.

Po nocy spędzonej w Krzepicach ruszamy raźno w nadziei, że szybko już staniemy w Częstochowie. Każdy podjazd pod Górę zdawał się nam już być lżejszy, gdyż myślałyśmy, że za nią kryje się już Częstochowa i że przy zjeździe uderzy nas upragniony widok Jasnej Góry. Niestety, nie jedną górę trzeba było przejechać zanim nareszcie zajaśniała przed nami strzelista, osnuta mgłą poranną — Jasna Góra. Odrazu wyrwał nam się radosny okrzyk z piersi i szybciej pomknęły nasze rowery. I nikt nie uwierzy, jak niepewnie spojrzałyśmy po sobie, gdy za chwilę zniknęła nam znowu z oczu. Podobno Częstochowa zawdzięcza swą nazwę temu, że się tak często chowa, gdy się do niej dojeżdża.

Ale nareszcie jesteśmy u celu, za nami pozostał ogromny szmat przebytej drogi, a przed nami jest perspektywa powitania najlepszej z matek.

Otrząsamy kurz podróżny i biegniemy na Jasną Górę. Jakaś ogromna radość i wzruszenie ogarnia nas, oczy napełniają się łzami. Oto przyszłyśmy do tej Matki Świętej z dziecięcą ufnością niosąc do jej stóp wszystkie troski i bóle życia, tymczasem to wszystko staje się nagle tak małe, tak nieważne wobec potęgi i majestatu Jej Boskiego Oblicza, że z ust naszych wybiega szept gorący i zgoła nieprzewidziany: „Matko spraw byśmy nigdy nie sprzeniewierzyły się idei Chrystusowej". Och, jak dobrze nam jest w tej chwili i jakże zdają się nam być biedni ci wszyscy, którzy nie mają wiary i dla których chwila taka nigdy nie zaistnieje.

Ale ponieważ wszystko ma swój kres, więc i chwile jasne i dobre. Po dwóch dniach udajemy się w powrotną drogę, pokrzepione na duchu, pełne nowych sił do borykania się z losem i przeciwnościami życia".

(Apel Pani, dotyczący wycieczki do Żnina, ze względu na brak miejsca odkładam do następnego numeru).



**„Złote słoneczko"**, przesyła nam z za bukietu ślicznych kwiatów, pełne powabu i uroku spojrzenie.

### KTÓRA UKOŃCZYŁA SZKOŁĘ GOSPODARCZĄ...

*„Samotna Włościanka"*. Cieszy mnie bardzo, że tak przyjemnie spędzasz, Droga Dziewczynko, czas przy pracy i, w chwilach odpoczynku, w swoim dużym ogrodzie.

Myślę, że ogród Twój pięknie musi być utrzymany, choćby dlatego, że lubisz tę miłą pracę i masz odpowiednie wyszkolenie. Przecież ukończyłaś Szkołę Gospodarczą, a tam uczą tych różności — prawda?

To dobrze „Samotna Włościaneczko", że znalazła się ktoś kto Cię naprawdę zainteresował, oby Ci „los" — jak mówisz — dopisał do końca. Życzę Pani tego z serca.

Rozumie się ,że listy P. są mi bardzo miłe i oczekuję ich ,jak również i obiecanych zdjęć.

A teraz, w imieniu miłej „Włościanki", zwracam się do wszystkich „Krainianek". Otóż, gdyby któraś z Pań ukończyła Szkołę Gospodarczą w Bydgoszczy lub w niej przez czas jakiś była — niechże napisze do „Samotnej Włościanki", jak do koleżanki, bo i ona ukończyła tę szkołę i ma dla niej dużo sentymentu. Zresztą, uważam, znalazłybyście dużo tematów wspólnych, wartych omawiania we wzajemnej, serdecznej korespondencji. A teraz jeszcze woła nasza Mała:

„Ali — Alu", dziękuję serdecznie za pozdrowienie, które odwzajemniam. Proszę pisać.

„Echo Wsi" — ślę od wsi do wsi pozdrowienie dla Ciebie. Czy zechcesz napisać do mnie? Powinnyśmy się najlepiej rozumieć.

Pozdrowienia dla „Czarodziejki", „Czarnookiej Wandy", „Samotnego Agronoma" i „Zagłoby — Wielkopolanina".

### HALLO! ABSOLWENTKI PAŃSTWOWEGO SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIEGO W POZNANIU, ROK 31—33!

*„Lunia"*, *„Iza"*, *„Eluśka"*. Trzy moje kochane Panie, jakże mnie cieszy, że jesteście takie miłe i, jak wnioskuję z listu, pełne życia i werwy. Mnie osobiście niesłychaną przyjemność sprawiają te rysy charakteru u młodych ludzi.

Z największą przyjemnością wyręczam miłą „Lunię", pytając czy są w naszej „Rodzince" osoby, które uczęszczały do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Poznaniu? Głównie między rokiem 31—33. Jeżeli tak, to niech, proszę, napiszą do niej.

Poza tym, dziękuję w imieniu tych pań „Jasiowi — Sokołowi" za przesłane pozdrowienia, które w pełni odwzajemniają i... zapytuję, czy nie zechce napisać do nich słów kilka? Doprawdy, sprawiłby im wiele radości.

A teraz ściskam Was, trzy dzielne panienki, i proszę o pamięć i listy, bo słusznie mniemam, że raz zawarta znajomość obowiązuje nas „sercowo" i karze rozmawiać sporadycznie, zwłaszcza, gdy taka rozmowa daje nam dużo zadowolenia. A zdaje mi się, że tak jest.

### NAJWIĘKSZE PRAGNIENIE TO MÓC NALEŻEĆ DO „KRAINY"

*„Morowy Chłop"*. Nowy nasz towarzysz często miewa smutki i pragnie się rozweselić przy pomocy Was, kochane przyjaciółki i drodzy przyjaciele!

Jest on pracownikiem pocztowym i jako taki miał sposobność poznać „Moje Powieści" i zapalić się do „Krainy szczerości". Obecnie jego największym pragnieniem jest zaliczenie go w poczet jej członków.

Prawda, że uczynimy zadość jego życzeniu? Niech się „Morowy Chłop" cieszy i niech zapomni o smutkach i trudnościach pracy codziennej, często monotonnej i szarej.

Mam wrażenie, że gdy wszystkie wyliczone przez niego istotki zasypią go listami — głowę straci i nie będzie miał dość czasu na sumienne odpowiedzi. Bo proszę słuchać, ile pań jest proszonych o listowną rozmowę:

„Biała Różyczka", „Simpson", „Bajka", „Duśka", „Dziewczę z dalekiej ojczyzny", „Nel z Bydgoszczy", „Wesoła cyganka", i.... inni czytelnicy!

Tak, Moi Mili! nowy nasz towarzysz obszernie zamierza korespondować, nie biorąc pod wzgląd lata i ciepła, które rozleniwia.

Przyznacie chyba wszyscy, że naprawdę „morowy" to człowiek.

Więc życzę Panu stosów codziennej korespondencji i podaję adres:

„Morowy Chłop", Urząd pocztowy, Bydgoszcz 8, poste — restante.

### JAK DOBRZE, ŻE NIE STRACIŁAŚ RADOŚCI ŻYCIA!

*„Dzikuska"*. Moja dzielna, promienna Dziewczynko, nie wiesz, jak bardzo dumna jestem z Ciebie, że mimo ciosu, co Cię dotknął przez utratę drogiej siostrzyczki, a zarazem najlepszej i jedynej przyjaciółki — nie zagubiłaś radości życia i piszesz tak serdecznie;

„Dla wszystkich smutnych, przesyłam dużo promiennych uśmiechów, aby i oni uśmiechnęli się do życia, gdyż mimo, że ciężko do-

świadcza nas los, życie jest piękne, cudowne i naprawdę warto żyć!"

Chcesz zwrotu zdjęcia? Szkoda, wielka szkoda — wolałabym mieć pamiątkę. Lecz poślę Ci, tylko pamiętaj, proszę, o nadesłaniu znaczka na porto.

Podaję Twój apel do „Krainiaków":

„Serdecznie pozdrawiam „Wiarusa Murzynka" i zapytuję, czy ten śniony we dwoje „złoty sen" prześnił się już? „Jerychonko" — jeżeli jesteś jeszcze taką samotną, Droga Siostrzyczko, to chętnie do Ciebie napiszę. Daj mi jednak odpowiedź w „Krainie", czy zgadzasz się?

Wreszcie dużo pozdrowień i uśmiechów dla „Żołnierzyka z Grodu Lecha" i wszystkich innych Sympatyczek i Sympatyków".

## CHĘTNIE CZYTAM OBSZERNE LISTY

*„Fakir"*. Zapowiedź długiego listu ucieszyła mnie szczerze, gdyż chętnie czytam obszerne listy, bo przecież z nich dowiaduję się, co moi Sympatycy robią, myślą i czują. Czekam więc i jak najmilej pozdrawiam Pana. Zakończenie listu Pana, aczkolwiek nieco oryginalne, przedrukowuję:

„Halo! Idealiści! Zdradzam Wam, że nie ma większego ideału kobiety nad „Marylkę z nad Warty". Jeżeli nie wierzycie, skrzyżujcie ze mną pióra, a przekonacie się, że tak jest istotnie. Wszystkim Dziewczynkom i Chłopcom z „Krainy" — ściskam serdecznie ręce i pozdrawiam"!

## KSIĄŻKĘ WYSŁALIŚMY!

*„Jesienny Wicher"*. Pięknie z Pana strony, że zechciałeś znowu przerwać dość długie milczenie. Lubię, gdy moja „Rodzinka" nie zaniedbuje ciągłości i stałości wzajemnego kontaktu. Tym piękniej jeszcze, że uczynił to Pan właśnie teraz, kiedy świat śmieje się do ludzi, obdarzając ich całą swoją najpiękniejszą krasą, a w domu trudno bodaj pięć minut usiedzieć.

Jeżeli chodzi o wylosowaną książkę, to podaję jak najuprzejmiej, że wysłaliśmy ją już na adres Pana. Ponadto wysłałam liścik, przeznaczony dla pseudonimu.

A teraz oddaję Panu głos:

„Halo! „Samotna Włościanko", zainteresowałem się Panią. Jestem również hreczkosiejem i posiadam radio. Możebyśmy zawiązali korespondencję? Czekam na jakiś znak od Pani.

„Złote Słoneczko z Pomorza" — dziękuję bardzo za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam.

I Pani „Wesoła Renato", za pozdrowienia najserdeczniej dziękuję. Zaznaczam, że mieszkam również nad Notecią, tylko może w innym kierunku. Miłe pa! pa!!!

„Złocisty Promyczku", zamilkłaś — czemu?"

## APEL ZE WSI

*„Hortensja" i „Sympatyczna Lusia"*. Dwie te przemiłe panienki dwa lata są już zwolenniczkami „Moich Powieści" i, czekając z ogromną niecierpliwością na każdy numer, czytają go, po otrzymaniu, od pierwszej do ostatniej stronicy. Albo, jak to utarło się w mowie potocznej: od deski do deski.

A ponieważ najwięcej pociąga je „Krainka", przeto nie zwlekając dłużej, zwracają się do nas wszystkich z ufną pewnością, że znajdzie się jeszcze maleńki kącik dla nich w „Krainie" i odrobina serca — zarówno u mnie, jak u Was wszystkich.

„Hortensja", to osiemnastoletnia panienka, średniego wzrostu, o pięknych oczach, a przede wszystkim dobrym serduszku. Lubi wszystko co piękne, wesołe, a najwięcej kocha wieś. Poza tym, uwielbia — jak pisze — chłopców w mundurach.

Druga, „Sympatyczna Lusia" jest wysoką brunetką o niebieskich oczach i naturalnych kędziorach. Lat ma szesnaście. Jest figlarna i żywa. Lubi bardzo sport i tańce.

Obie panienki pytają, czy znajdzie się jakiś chłopczyk, który się nimi zainteresuje i napisze liścik. Odpowiedź murowana!

Wszystkim nowym siostrzyczkom i braciszkom ślą milion całusów i podają im adres: poste — restante, Klonowo, pow. Tuchola dla „Hortensji" i „Sympatycznej Lusi".

## NAPISZ MI...

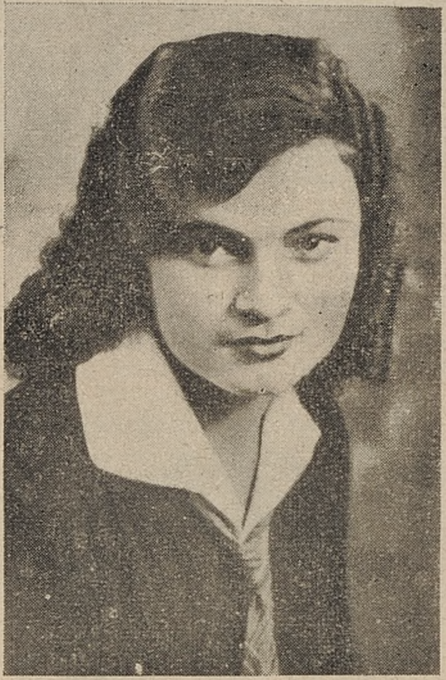
*„Lusia Szczebiotka"*. Jak mnie to serdecznie cieszy, że jesteś zadowolona z dotychczasowej korespondencji z „Krainiakami" i że poznałaś ich osobiście, a co najważniejsze, nie rozczarowałaś się absolutnie. Powiem Ci w zaufaniu, mała „Szczebiotko", że wzrost mężczyzny winien w porównaniu z innymi zaletami grać małą rolę. Sensu nie ma uprzedzać się z racji wzrostu, gdy charakter i w ogóle cały człowiek podoba się i odpowiada duchowo. Weź to sobie do główki Maleńka, i napisz mi, czy podobała Ci się moja rada.

„Halo! przesyłam pozdrowienia dla „Szczerej Ślązaczki". Może skreślisz do mnie kilka słów, Droga Dziewczynko?

Ślicznie dziękuję za pamięć „Niebiesko — okiej Zińce", którą odwzajemniam i uśmiecham się do jej niebieskich ocząt.

„Zapomniana Syleno", dlaczego cierpisz? Może przelejesz swój ból na papier a ulży Ci. Ja zaś chętnie na twój list odpowiem i postaram się pocieszyć Cię choć trochę. Nie zwlekaj więc i napisz jak najprędzej.

Kochana moja „Szczebiotko"! Jakże Ci wdzięczną jestem za przesłane mi miłe i ciepłe, jak to gorące słoneczko — uśmiechy i za karteczkę i przede wszystkim, za słowa miękkie i ciepłe, skierowane do członkiń naszej „Rodzinki".



W poranku złotej godzinie,
gdy wszystko o słońcu śpiewa,
gdy szczebiot ptasząt rozbrzmiewa
w gęstwinie rosistych krzów —
o tobie marzę jedynie,
— moje ty słodkie kochanie,
o tobie marzę w altanie
pełnej jaśminów i bzów...
A moja dusza jest taka,
jak ten poranek wiosenny,
poranek senny, promienny,
pełen jaśminów i bzów...
A moja miłość jest jako
spojrzenia słońca niewinne
na kwiatów buzie dziecinne
zbudzone z pachnących snów...

*(Ejsmond.)*

Wierszyk powyższy stanowi prześliczne tło dla fotografii P. S. S., uroczej Sympatyczki „Krainy"

# *Teczka Wujka Janusza*

## CZEMU?

*„Zbłąkana Gwiazda"*. „Tak mi źle, tyle goryczy zebrało się w moim sercu... Jestem taka sama, taka boleśnie sama! Czemu nikt mnie nie rozumie, czy rozumieć nie chce?"...

Czemu? — bo nie potrafi Panią zrozumieć. Osoby z otoczenia Pani mierzą Panią zapewnie taką samą miarą, jak innych ludzi i w tym sęk, bo na Panią trzeba popatrzeć inaczej, głębiej i ciekawiej, aby ją zrozumieć. Dotychczas nikt jeszcze tego nie uczynił, ale napewno znajdzie się ktoś inteligentny, kto zrozumie Panią i położy wreszcie kres tęsknocie Pani za przyjaźnią. Osobiście życzę Pani jak najszybszego zbliżenia się radosnej chwili spotkania się z bratnią duszą.

Co do honorarium za powieść, nie mogę powiedzieć Pani nic konkretnego, gdyż ceny powieści są nieraz bardzo indywidualne i przeważnie zależne od wartości powieści i jej rozmiarów. Najlepiej będzie, gdy napisaną już powieść prześle Pani na ręce któregoś z wydawców, a ten poda Pani cenę.

A teraz odpowiedź na trzecie i ostatnie pytanie. — Otóż radzę Pani pójść z wizytą i przed tym w jak najgrzeczniejszy sposób zawiadomić wspomnianą w liście osobę o zamierzonej wizycie. W ten sposób postąpi Pani według przepisów grzeczności i zasad dobrego wychowania.

Odpowiedź moją kończę serdecznymi pozdrowieniami i dopiskiem z listu Pani:

„Bardzo miłe pozdrowienia ślę pp. M. Grzegorskiemu i J. Baranowskiemu, również uznanie za wierszyki. Dalej pozdrawiam wszystkie „Cyganki" i wszystkich „Śpiewaków", „Dumkę" „Duśkę", „Willy'ego" i „Smutnego Genia".

Moi Drodzy Braciszkowie! Tylu Was mam w „Krainie", może więc jest pośród Was... detektyw. Tak, detektyw! I jeśli jest, niech napisze kiedyś do mnie, bo strasznie interesują mnie przeżycia tych ludzi z „żelaza". Ucieszę się więc bardzo, bardzo! Tak samo i listom innych Panów"!

## DLACZEGO?

Dlaczego właśnie mnie
Los życie złamał srogi?
Dlaczego zgasł blask ideału,
Co był nad wszystko drogi?

Dlaczego serce zamilknąć musi,
Jad w młodą wsączył duszę?
Dlaczego na mnie spadł ten cios,
Że cierpieć, płakać muszę?

Dlaczego serce zamilknąć musi,
Zapomnieć musi dawne sny,
Choć dłoń po szczęście sięgnąć się kusi,
A w piersi ból, a w oczach gorzkie łzy?...

*„Zbłąkana Gwiazda"*.

## RADZĘ PRACOWAĆ NAD SOBĄ!

*„Ciemnooka Ira"*. W wierszykach Pani znalazłem bardzo miłe akcenty. Radzę pracować nad sobą dalej, a szczególnie kłaść duży nacisk, przy tworzeniu wierszy, na stronę techniczną, t. zn. wygładzać jak najwięcej rytm i budować jak najstaranniej poszczególne zdania wierszy. W ten sposób dojdzie Pani do tego, że utwory Pani będą nietylko dobre, ale wzruszające piękne.

Z nadesłanych wierszy przeznaczam do druku następujący, gdyż chce Pani, aby przeczytał go ktoś bardzo miły i kochany.

## NA DZIEŃ IMIENIN

*Ukochanemu poświęcam.*

Lecą nam chwile szybko, jak motyle,
Ach szybko lecą w dal...
Oj, szkoda ich szkoda,
Że płyną jak woda
I zostawiają żal!...

Więc chciałabym dla ciebie,
Zatrzymać na niebie
Ten hyży, szybki czas
I młode twe lata
Przedłużyć dla świata,
Byś wiecznie był wśród nas!...

I być w każdej dobie,
Mój drogi, przy tobie
I kochać cię i czcić —
I chcę koniecznie
Przy tobie żyć wiecznie,
Słońcem twym być!...

*„Ciemnooka Ira"*.

## POLECIŁEM WYSŁAĆ!

*P. H. K. z Torunia*. Brakujący numer poleciłem Pani wysłać i obecnie oczekuję na ten zapowiedziany pogodny wierszyk i nowelkę.

Reportaż Pani z Kasprowego Wierchu będzie drukowany w zimie, gdyż narazie jest nieaktualny. Numery autorskie oczywiście nadeślemy Pani.

Kilka słów, przeznaczonych dla „Krainy", przedrukowuję:

„Dziewczę z Kujaw"! Dziękuję Ci serdecznie za miłe pozdrowienia i odwzajemniam je w dwójnasób. Proszę, napisz coś do mnie i o tym, czemu akurat dla mnie były przeznaczone te pozdrowienia".

# Raj kobiet

J 91 061 Bardzo miła sukienka z crepè de chine w barwny deseń. Przybranie dekoltu stanowi aksamitka, dostosowana kolorem do deseniu i zawiązana na kokardę. Materiału na sukienkę potrzeba 5,50 m., szerokiego 95 cm.

J 91 069 — 91 068 Śliczny komplecik letni z crepe-romain dla eleganckiej pani. Wstawienie w bluzeczce z jedwabnego, białego marocain.




J 91030 Popołudniowa sukienka z jedwabnej crepy w kolorowe groszki. Przybranie sukienki stanowią plisowane riuszki.

J 91 042 Elegancka sukienka z ciemnej georgetty w delikatny deseń. Kloszowy kołnierzyk z białego jedwabiu.

J 91 102 Sukienka dla tęższej pani z jasnego, matowego jedwabiu w drobny rzucik. Kołnierz w kształcie żabota.

J 91 054 Pełna prostoty sukienka dla młodej panienki z wzorzystego muślinku. Kołnierzyk z białego rypsu, pasek czerwony, zamszowy.

Kroje powyższe (Lyona) można nabyć w naszej administracji po uprzednim nadesłaniu 1,90 zł przez PKO. nr. 207.393.

## *Napewno nie wiecie, że:*

W Ameryce w mieście Long Bicz na Florydzie obchodzą co rok „dzień zęba". W tym dniu dzieci chodzą po ulicach z wielkimi szczotkami do zębów, mówiąc o potrzebie ich czyszczenia.

—o—

Niejaki major Labelliere zostawił ciekawy testament, żądając, aby go pochowano głową na dół. Zachciankę tę testator tłumaczył tym, że wszystko na świecie dzieje się całkiem odwrotnie.

—o—

W Samarkandzie niedawno badano „piec słoneczny" skonstruowany przez jednego z robotników. Na tym piecu zagotowano wodę i przygotowano cały obiad. Ściany kotła nagrzały się do 150 stopni. Zupę mięsną ugotowano w ciągu dwu godzin, a potrawę mięsną w ciągu 50 minut. Okazało się, że piec słoneczny jest bardzo potrzebny i doskonale nadający się do użycia. W kotle tego pieca można przegotować do 150 litrów wody dziennie. Skonstruowany piec słoneczny zwrócił uwagę całego świata technicznego.

—o—

Ilość opatentowanych „pieców słonecznych" doszła już do tysiąca. Jeden z tych pieców znajduje się w Egipcie i oglądany jest jako curiosum.

—o—

Znany fizyk prof. Lange skonstruował komórkę czułą na światło słoneczne. Komórka ta składa się z cieniutkiej warstwy amalgamatu i warstwy drogiego metalu. Obie są nieomal przezroczyste. Komórka ma tę własność, że gdy padnie na nią światło słoneczne, powstaje w niej prąd elektryczny. Komórka ta nie potrzebuje wiele miejsca, aby otrzymać wielką energię. Prąd jednak nie jest tak silny, aby mógł służyć do celów przemysłowych. Z chwilą jej ulepszenia nastąpią wielkie zmiany w wykorzystywaniu sił promieni słonecznych.

—o—

Środkiem geograficznym Francji jest mała wioska Briere Allischamps w departamencie Cher. Na placu znajduje się w tej wiosce pomnik kamienny z napisem: „Tu jest środek Francji".

—o—

W roku bieżącym słynna wieża katedry św. Stefana w Wiedniu obchodzi pięćsetlecie. W czasie odsieczy wiedeńskiej służyła za punkt obserwacyjny. Wieżę budowano 68 lat i ukończono w 1433 r. 2 października.

—o—

Jedną z atrakcyj wesołego miasteczka na wystawie w Chicago jest człowiek pożerający różne gady i płazy, a zwłaszcza węże jadowite, np. grzechotniki. Człowiek ten olbrzymiego wzrostu budzi niemałą sensację wśród widzów.

—o—

Odległość księżyca od ziemi przewyższa 10 razy długość ziemskiego równika.

—o—

Promienie księżyca zwiększają zdolność kiełkowania roślin i przyspieszają ich wzrost.

—o—

W czasie pojawienia się większych plam na słońcu, według statystyki specjalnej, dowiedziono zwiększoną ilość śmiertelności w szpitalach głównie na udar sercowy.

—o—

Szybkie starzenie się górali specjaliści przypisują działaniu promieni Millikona t. zw. Ultra-Gamma, zabójczo działających na komórki i tkanki człowieka. Im wyżej mieszka on, tym promienie te silniej działają i powodują przedwczesne zużycie się organizmu.

—o—

Liczba duchowieństwa katolickiego na całym świecie wynosi 321 tysięcy kapłanów, z czego 64 tysiące zakonników.

—o—

Na misjach czynnych jest 15.000 katolickich kapłanów, z czego trzecią część stanowią księża pochodzenia krajowego.

—o—

Na misjach Kościół utrzymuje 24.779 szkół katechistycznych, 26.937 szkół powszechnych, 827 zawodowych, 1172 średnich, 468 wyższych i 17 uniwersytetów. Ponadto Kościół prowadzi w krajach misyjnych 1.609 naukowych sierocińców, 677 szpitali, 2.222 apteki i ambulatoria. Posiada 10 naukowych obserwatoriów, 165 pism drukowanych we własnych 145 drukarniach.

—o—

Najlepsze orkiestry wojskowe w Europie posiadają: Francja, Hiszpania, Belgia, Anglia, Italia, Holandia, Czechosłowacja i Polska.

—o—

Niedawno zmarła pewna Meksykanka De la Roca, przeżyła 170 lat, bijąc rekord długowieczności człowieka.

## DOBRA GOSPODYNI

## *Konfitury*

**Agrest.** Niedojrzały jeszcze, wydrylowany z pestek agrest wrzucić do zimnej wody i dobrze zagrzać, ale nie dopuścić do zagotowania. Potem wybrać łyżką durszlakową i włożyć do wody z lodem; gdy przestygnie. zmienić wodę, dodać lodu i wynieść do piwnicy. Na drugi dzień zagotować syrop, biorąc 1 kg cukru na 1 kg owocu, zupełnie zimnym zalać przecedzony owoc i znowu odstawić. Następnego dnia dodać pół kg cukru do zalanego syropu, wyszumować i ciepłym zalać agrest, a czwartego dnia dodać jeszcze pół kg cukru, wygotować go do odpowiedniej gęstości, szumując starannie, wrzucić weń agrest i smażyć na wolnym ogniu, aż będzie miękki i przezroczysty. Na kg konfitur dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Studzić w salaterce. Dopiero następnego dnia wkładać w słoje.

**Porzeczki.** Duże porzeczki czerwone, różowe lub białe należy wydrylować z pestek i wrzucić do gęstego syropu. Na 4 szklanki wydrylowanych porzeczek bierze się półtora kg cukru, smaży się je na wolnym ogniu 15—20 minut, szumuje i zimne składa do słoików.

**Truskawki.** Zebrane w suchy dzień truskawki obrać z korzonków, opłukać w zimnej wodzie, obsuszyć na sicie, a potem maczać każdą, nadziawszy na szpilkę, w spirytusie lub araku i kłaść do gęstego i gorącego syropu, zagotowanego z 2 kg cukru licząc na 1 kg owocu. Nazajutrz smażyć na wol-

nym ogniu przez 20 minut, wyszumować ostrożnie i zimne już złożyć do słoików.

**Maliny.** O ile chcemy, by maliny po usmażeniu pozostały całe, niepogniecione, układamy je jedną przy drugiej na półmisku, skrapiamy spirytusem, posypujemy obficie cukrem i stawiamy na noc w chłodnym miejscu. Nazajutrz na kg malin robimy syrop z 2 kg cukru i 2 szklanek wody, na wrzący wsypujemy maliny, zasmażamy raz i odstawiamy. Po dziesięciu minutach znów zasmażamy i znów odstawiamy na 10 minut. Należy to powtarzać tak długo. aż maliny staną się zupełnie przezroczyste, nie mieszać ich, jednak, bo pogniotłyby się. Szumować należy je wtedy dopiero, gdy są na dosmażeniu.

ALFRED LORD TENNYSON.

# Szarża lekkiej brygady

(NOWELA).

(Osnute na tle filmu o podobnym tytule).

Chan uśmiechnął się zagadkowo. „Kiedy w Anglii chodziłem do szkół, przyswoiłem sobie czarujący, choć nieco śmieszny zwyczaj ściskania sobie rąk na znak zawarcia umowy pomiędzy dżentelmenami". Wyciągnął rękę do Geoffreya. Ten przyjął rękę Chana, po czym obrócił się na pięcie i odszedł w stronę garnizonu.

„Sądzę, że będziemy musieli ustąpić — rzekł do pułkownika, opowiedziawszy mu o przebiegu rozmowy z Chanem.

Pułkownik skłonił głowę: „Nic innego nie pozostaje. Wydaj rozkaz ewakuowania fortu".

Geoffrey poczynił odpowiednie zarządzenia. Zabrzmiał różek wojenny. Po upływie dziesięciu minut wielkie wrota rozwarły się i pomiędzy szpalerami dzikich wojowników przeszli angielscy i krajowi żołnierze garnizonu. Kilku pozostałych sipajów niosło nosze z rannymi. Pułkownik Campbell kroczył na czele oddziału. Nikt nie miał przy sobie broni. Za nimi dreptały kobiety i dzieci. Wszyscy zmierzali ku rzece, gdzie na uwięzi chybotały się oczekujące ich łodzie.

Na obu brzegach rzeki tłoczyły się setki Suristańczyków ze złożonymi jak do strzału karabinami, pilnując przeprawy. Geoffrey brodził w błotnistej wodzie pomaagjąc kobietom i dzieciom wsiąść do łódek. To samo czynili inni ludzie z garnizonu.

Na wybrzeżu czekał Chan Suratu, a obok niego generał Wolonow. Siedzieli na wspaniałych arabskich rumakach i przyglądali się ciżbie wsiadających. Kiedy łodzie były już pełne. Chan Suratu podniósł rękę do góry i suristańskie karabiny plunęły morderczym ogniem. Krzyki kobiet i dzieci głośniejsze były od wystrzałów, ale to nie wzruszyło Suristańczyków. Brnąc w wodzie barbarzyńcy wrzucili płonące głownie do łódek. Lufy ich karabinów ziały płomieniem w samą gęstwę żywych ciał.

Geoffrey stał na dziobie indyjskiej szalupy. Trafiony kulą zatoczył się i wpadł do wody. Po chwili wypłynął i z bolesnym trudem dotarł do łódki, w której Elza borykała się z zezwierzęconym napastnikiem. Nie bacząc na świeżą ranę Geoffrey rzucił się na barbarzyńcę i zaciskając palce na jego gardzieli poszedł wraz z nim pod wodę. Porzuciwszy martwe ciało krajowca pochwycił Elzę, zanurzył ją głęboko w wodzie i wraz z nią popłynął prędko, usiłując oddalić się od straszliwego miejsca. Kule z sykiem pluskały w wodę, ale oni płynęli dalej i coraz dalej, aż znaleźli się na pełnym nurcie rzeki. Udało się im dosiąść płynącej luzem łodzi. Wkrótce znaleźli się poza zasięgiem morderczych karabinów.

Tych, którzy pozostali przy życiu, Suristańczycy ściągnęli z łodzi i grupą pognali w stronę fortu. Z pośród Anglików pozostało niewielu — pułkownik Campbell, pani Jowett z dzieckiem, Pearson i kilkunastu lansjerów. Prócz tego ze dwadzieścia tubylczych kobiet i dzieci. Wpędzono ich do koszar i ustawiono szeregiem przy ścianie arsenału.

Pułkownik Campbell pochylił głowę i zaczął się modlić. Nie skończył jeszcze modlitwy, gdy trzask karabinów wstrząsnął powietrzem i masakra w Chukoti stała się faktem dokonanym.

ROZDZIAŁ VIII.

Słysząc pukanie ordynansa sir Charles Macefield podniósł głowę z nad biurka.

„Major Vickers" — zameldował ordynans.

Sir Charles wstał i zawołał przez otwarte drzwi: „Geoffrey, chodźno tu, chłopcze!" Z tkliwością uśmiechnął się do młodego oficera. „Manatki" zapakowane? Okręt odbija z samego rana. Byłeś kiedy na Krymie, Vickers?"

Geoffrey nie odpowiedział wprost na pytanie. „Czy mogę o coś poprosić, sir?"

„Oczywiście". Sir Charles usiadł.

„Dziwnym wydaje mi się, że urząd wojenny wysyła 27 Pułk do Sewastopola przeciwko Rosjanom. Czyż to mało krwi utraciły chłopaki w Chukoti?"

Sir Charles mówił z powagą i głębokim zrozumieniem: „Właśnie, że to bardzo rozsądne zarządzenie. Śmierć w boju, to jeden z obowiązków żołnierza. Ale te biedaczyska widziały coś gorszego — widziały rzeź, przygotowaną przez podstęp i zdradę. Będą walczyć dwa razy dzielnej, gdyż nic im nie pozostaje już w życiu prócz zemsty".

Geoffrey zmarszczył brwi: „Cóż dla nich znaczy zemsta na Rosjanach?"

„Na Rosjanach?" Sir Charles obracał w ręku arkusz papieru. „Żaden lud nie występuje zbrojnie przeciwko innemu ludowi. Anglia walczy z tyranią cara, a 27 Pułk Lansjerów walczyć będzie z Chanem Suratu".

W oczach Geoffreya zatliły się błyski. „Z Chanem Suratu?"

„Departamentowi wojny wiadomo, że ten łotr znajduje się na Krymie, w szeregach rosyjskiej armii. Czy teraz rozumiesz, dlaczego posyłamy 27 Pułk pod Sewastopol? Każdy z was będzie miał okazję spełnić wymarzony przez siebie czyn — wetknąć lancę w brzuch tej złośliwej małpy — i proszę Boga, aby zesłał powolną śmierć temu mordercy kobiet i dzieci. Szykuj się, Vickers, Czasu niewiele, a musisz się spakować".

„Dziękuję, Sir" — rzekł Geoffrey. Zaledwie znalazł się w swojej kwaterze, gdy u drzwi rozległo się pukanie. „Proszę"! zawołał i aż cofnął się ze zdumienia, widząc stojącą w progu Elzę. Miała na sobie żałobne szaty i wyglądała jeszcze młodziej, jeszcze bardziej wiotko, jeszcze piękniej, niż zwykle.

Wyciągnął ku niej ramiona, ale Elza jakoś nie kwapiła się w jego objęcia. „Musiałam się z z tobą zobaczyć" — rzekła w najwyższym zdenerwowaniu. „Perry odjechał?"

Geoffrey nic z tego nie rozumiał. „Odjechał? No to co?"

„Na Krym!" Elza była bliska płaczu. „Odkomenderowano go spowrotem do pułku. Przed dwoma dniami odpłynął. Ach, Geoffrey -- oni go zabiją. Ja wiem, że zabiją go".

Geoffrey powoli wymawiał sylaby, a w głosie jego dźwięczał ból. „Elzo, przecież będziesz w końcu musiała powiedzieć mi prawdę — czemuż nie teraz?"

Elza zbliżyła się i ujęła Geofreya za rękę. „Kocham go" — rzekła po prostu.

„Od dawna"? — pytał Geoffrey siląc się na spokój.

„Od chwili, kiedy go ujrzałam".

„Dlaczego nie mówiłaś mi o tym — tak długo?" Geoffrey był już całkowicie opanowany.

„Chciałam ci wszystko wyznać, kiedy wróciłam z Lahor — i — ach, Geoffrey, jakże mi przykro z twojego powodu!" W oczach jej błysnęły wielkie łzy.

Geoffrey mówił stłumionym głosem: „Dobrze, Elzo. Możesz się nie obawiać. Postaram się, aby Perry nie był narażony na wielkie niebezpieczeństwa. Ja też jadę, rozumiesz?"

„Muszę dokończyć pakowania!" Geoffrey zwinął swój płaszcz i wcisnął go do plecaka.

„Czy mogę w czym pomóc?"

Geoffrey potrząsnął głową: „Nie. Ale może masz jakieś zlecenie dla Perry'ego.

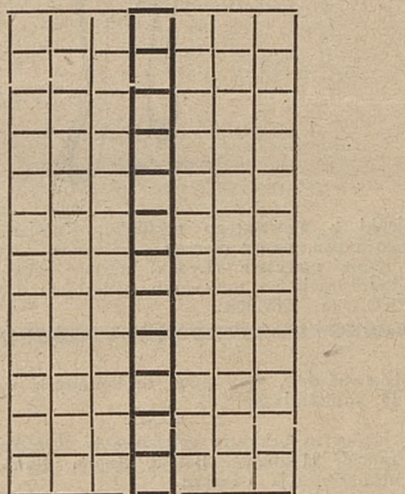
„O" — tylko tyle potrafiła wydobyć z siebie.

(Dokończenie nastąpi).

## CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf

ul. Mira Tomaszewska.



W powyższą figurę wpisać poziomo 12 rzeczowników o podanym niżej znaczeniu. Rząd środkowy, oznaczony grubszą linią, da rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1) In. zmartwienia. 2) Rosną w zbożu. 3) Czysty zysk. 4) Naczynie zbite z desek. 5) Nieraz ją śpiewamy. 6) Budynek zajmowany przez wojsko. 7) Największa część samolotu. (l. mn.) 8) Jednostka ciepła. 9) Narzędzie murarskie. 10) In. wywczasy. 11) Stoi w polu. 12) Kobieta prowadząca samolot.

Łamigłówka

ul. I. Wiechujówna.

Przez o — Wiednia jestem dzielnicą,
Przez k — bucham ogniem i niszczę.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 2 lipca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 24 „Moich Powieści": Konikówka: „Nie ma większego skarbu nad dobrą, ani większej plagi nad złą żonę". Szarada: Bezrobocie.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp.: M. Wilczewska — Kraski, „Fleur", Kazimierz Skoroszewski — Unisław, B. Kłolska — Czepów, W. Czerniejewska — Żnin, Maria Zelwerowiczowa — Katowice, Ita Kortówna — Poznań, Seweryn Wygodzki — Uniejów, Bazyli Kasyna — Ryńsk, „Eros", Maria Kozłowska — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Marii Zelwerowiczowej z Katowic i Sewerynowi Wygodzkiemu z Uniejowa.



Czy sieci są całe? Czy nie porwały ich wichry lub uszkodziły, broń Boże, czyjeś nieostrożne ręce? — oto troska rybaka przed wyruszeniem na pełne morze, na połów ryb.

czaj złagodniała, pozwoliła jej zostać w domu i wyszła sama.

Tak to nieszczęście nauczyło ją względności nawet dla służby.

Szła przez puste ulice, patrząc w pogodne gwiaździste niebo, a myślą zatopiła się w przeszłość.

Matka jej, kobieta niesumienna i lekkomyślna dawała jej zawsze najgorszy przykład.

Przetrwoniła majątek swój i córki, a potem zmusiła ją, by wyszła za wstrętnego, ale bardzo bogatego barona Wimpfen.

Zajęta tymi myślami, nie zauważyła, że zabłądziła w nieznaną okolicę i daremnie oglądała się za jaką dorożką.

Nie wiedząc co począć, zwróciła się do przechodzącej ulicą kobiety z prośbą o wskazanie drogi.

Lecz gdy ta zwróciła się do niej, ujrzała Lola pomarszczone czoło, otoczone rudymi włosami.

— Ruda kobieta! Wampir mediolański! — wrzasnęła baronowa i zemdlona padła na ziemię.

Kiedy wróciła do przytomności, czuła, że ktoś jej pryska zimną wodą w twarz.

Otworzyła szeroko oczy i omal znowu nie zemdlała ze strachu.

Przed nią blady i wynędzniały, ale zawsze piękny stał Leon.

— Upiór! — krzyknęła. — Umarli wstają z grobu, aby mnie grzeszną karać.

— Dlaczego mam być upiorem? — odpowiedział Leon zdziwiony — niech pani baronowa wstanie.

Chciał ją podnieść, ale ona cofnęła się przerażona.

— Nie dotykaj mnie trupiemi dłońmi — krzyczała — chcesz mnie porwać do swego grobu?

Padła przed nim na kolana i, podnosząc błagalnie dłonie, bełkotała w obłąkanej trwodze:

— Wiem, że muszę umrzeć, bo tak jak ciebie widziałem kiedyś we śnie Ogrowskiego. Ale zostaw mi dość czasu, abym zdążyła się nawrócić i odpokutować ciężkie grzechy.

— Niech się pani uspokoi — mówił łagodnie Leon — to nie upiór, to przecież ja sam. Żyję jak każdy człowiek, niech się pani przekona.

Patrzyła na niego niezdecydowana i nieśmiałym ruchem dotknęła jego dłoni.

— A więc ty żyjesz? — rzekła. — Więc to nie prawda, że cię zapędziłam do grobu? Więc mam jeden grzech mniej na sumieniu — szepnęła baronowa, podczas gdy on podnosił ją z ziemi.

— Leonie — mówiła dalej — ciężko zawiniłam wobec ciebie, ale jestem straszliwie pomszczony. Jestem najnieszczęśliwszą kobietą na świecie.

Leon łagodnie usiłował ją pocieszyć, gdyż płakała rzewnie, nie mogąc się uspokoić.

— Więc przebaczyłeś mi? — zapytała wreszcie wzruszona.

— Przebaczyłem — odpowiedział Leon uroczystym tonem — równie szczerze, jak pragnę, aby mnie przebaczono.

— O, dzięki ci — zawołała Leona wzruszona — jeden kolec z serca wyrwany! Jeden ciężar spadł mi z piersi. Niech panu Bóg Najwyższy wynagrodzi.



Dziewiętnastoletnia lotniczka niemiecka, Ewa Smidt, pobiła ostatnio kobiecy rekord lotniczy Anny Reitsch.

Uspokoiła się zupełnie. Mówiła już do niego „pan“ uznając jego takt, z jakim się do niej zwrócił, nie wspominając ani słowem o dawniejszym ich stosunku.

Sama świadomość, że on żyje, była dla niej nieocenionym skarbem. Odczuwała gorąco potrzebę wyświadczenia mu jakiejś przysługi.

— Co pan robi w Tryeście? — zapytała — dlaczego pan nie wrócił do Wiednia, do studiów, które przerwałeś pan z mej winy?

Leon milczał. Nie chciał zdradzać przed tą kobietą swego bólu.

— Nie ma pan środków? — zapytała. — Niech pan weźmie z moich dostatków. Nie jest to podarunek, tylko dług, który panu spłacam. Zwichnęłam panu karierę, więc jest moim obowiązkiem, umożliwić panu powrót do studiów. Proszę, niech się pan nie uzbraja w fałszywą dumę i nie odmawia tej propozycji. Niech pan usłucha mej prośby, pomnąc, że to dla mnie, nieszczęśliwej, będzie dobrodziejstwem.

— Nie, proszę pani — odpowiedział Leon łagodnie, ale stanowczo. — Przykro mi, że muszę pani odmówić, choć podarunek w bardzo delikatnej formie jest podany. Upadłem nisko, ale teraz obudziło się we mnie poczucie honoru. Nie mogę przyjmować darów, które mogłyby mnie upokorzyć.

Mówił tak energicznie, że baronowa nie śmiała więcej nalegać.

Ten człowiek, którym doniedawna jeszcze mogła rządzić, teraz był człowiekiem pełnym charakteru i niezależności.

Baronowa von Wimpfen spoglądała z litością na ogromnie wynędzniałą jego postać, bo wprawdzie był ubrany czysto i cało, ale z dawnej jego elegancji nie pozostało ani śladu.

— Czy ma pan tu jaką dobrą posadę? — zapytała Lola.

— Znalazłem przynajmniej zarobek na chleb — odparł Leon wymijająco.

Teraz dopiero baronowa zrozumiała, że on był nieszczęśliwy i niezadowolony, i że nie chciał jej się zwierzyć, właśnie teraz, kiedyby jej to sprawiło ulgę, gdyby mu mogła pomóc.

Leon zaprowadził ją do fiakra.

Po drodze chciała go jeszcze zapytać o żonę i dlaczego do niej nie wraca, ale milczała, gdyż czuła, że lepiej będzie nie wspominać jej imienia.

Kiedy zbliżyli się do dorożek, podała mu rękę.

— A więc rzeczywiście rozstajemy się bez żalu? — zapytała.

— Zupełnie bez żalu i bez gniewu — odpowiedział — nie pani jesteś winną memu zwichniętemu życiu, tylko ja sam.

Spojrzawszy sobie w oczy spokojnie, prawie serdecznie, rozeszli się.

Baronowa przybywszy do domu, uklękła i wzniosła błagalnie oczy ku niebu, zasyłając szczerą modlitwę dziękczynną za to, że Bóg zdjął jej z serca jeden wielki ciężar.

Postanowiła odpokutować i resztę grzechów, a z chwilą tą zaszła w niej wielka zmiana.

Nie myślała już o zabawie, ani o używaniu, lecz miała święty zamiar uszczęśliwiać bliźnich. A że Panu Bogu milszy jest grzesznik nawrócony, który się kaja, niż dziewięćdziesiątdziewięć sprawiedliwych, co pokuty nie potrzebują, więc pomoże Pan Bóg biednej, grzesznej kobiecie i nie odmówi jej swego błogosławieństwa.

## ROZDZIAŁ LXXXIX.

### W anatomii

Z konieczności musimy się cofnąć o kilka tygodni wstecz i poprosić piękną Czytelniczkę, aby udała się z nami w ślad za agentem Sperlingiem, alias Mehlhose do Wiednia.

Po przybyciu do stolicy był bardzo zdenerwowany na myśl o tym, że Sylwia może teraz leży poćwiartowana w anatomii. Och, ta myśl była dla niego straszną, chociaż nie można powiedzieć, aby Sylwię kochał, tylko raczej jako artysta podziwiał jej piękność.

Do Wiednia przybył o północy, musiał więc pójść jeszcze do domu, gdzie jego stara służąca, przyzwyczajona do jego nagłych wycieczek i niespodziewanych powrotów, oświadczyła, gderając, że wcale nie myśli po północy zabierać się do przyrządzania kolacji dla niego.

Sperling nie myślał o jedzeniu, ale mimo to staruszka nie mogła spać, gdyż Sperling biegał jak wariat po swoim mieszkaniu.

Zła jak diabeł, staruszka przysięgła mu zemstę i obiecywała sobie, że nazajutrz każdą potrawę przesoli, łóżka nie pościeli, pokoju nie wywietrzy i ubrania mu nie wyczyści.

Te myśli o zemście uspokoiły ją tak dalece, że wreszcie o drugiej zasnęła, Sperling zaś chodził po pokoju do godziny czwartej.

Wreszcie zmęczony siadł na łóżko i zdrzemnął się.

O 10-tej godzinie rano zbudził się przestraszony białym światłem dziennym, ubrał się szybko i wybiegł bez śniadania.

Starą służąca patrzyła za nim, kiwając głową.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

ADAM CZEKALSKI

15)

# Sen o zemście

Pan Jan znajdował się w pierwszym szeregu swoich ludzi z bronią jeszcze dymiącą po wystrzale, gdy groźna ława bagnetów runęła na nich. Odrzucili więc prawie wszyscy niepożyteczne już teraz muszkiety i porwali za szable.

Mdłe światełko kaganka, zawieszone wysoko nad głowami ludzkimi, rzucało ponury blask na zatłoczoną ludźmi sień.

Zwarły się szable z bagnetami i szable okazały się w pierwszym starciu górą. Ale pierwsze szeregi bagnetów, parte falą ludzką od tyłu, choć padały raz po raz pod nogi towarzyszów — zastępowane innymi, posuwały się wciąż naprzód, krok za krokiem, nieubłaganie, jak śmierć sama.

Parękroć sołdacki bagnet drasnął starostę po ciele i krew spływać już z niego poczynała, ale Ciechanowiecki bronił się zajadle, a nie tyle chodziło mu o własne zwycięstwo, które było niemożliwym, ile o uśmiercenie największej liczby wrogów.

Ale znowu żądło lśniącego bagnetu ukłuło go w ramię boleśnie. Starosta odbił natarcie i ciął mocno. Bagnet wysunął się z rąk sołdackich i człowiek padł pod nogi towarzyszów. Lecz natychmiast zastąpił go nowy sołdat z nowym bagnetem.

Błyszczące żądła trzebiły dzielnych towarzyszów Ciechanowieckiego, a ściana przeciwnego końca sieni zbliżała się coraz bardziej, krok za krokiem, krok za krokiem...

— Naprzód! — rzucił pan Jan towarzyszom i nieliczni już obrońcy natarli na falę bagnetów gwałtownie, tnąc i bodąc. Znakomicie wyfechtowana szlachta polska znowu wzięła górę nad ciężko walczącym i nieruchawym sołdactwem carycy i odepchnęła ich o parę kroków do tyłu.

Ciechanowiecki, choć już poraniony w paru miejscach, choć krwią obficie ociekający, rzucił się gwałtownie naprzód, to postępując krok — dwa, to cofając się znowu i przysiadając, aby lepiej ciąć, zrobić sobie miejsce do zapuszczenia końca szabli w miękkie ciała ludzkie.

— Ach, ty sobaka etakaja! — klęli sołdaci. Kusajesz... nu, kak ja tiebie raz...

I sołdat pchnął gwałtownie w przód bagnetem i natychmiast go cofnął. Starosta syknął boleśnie, ale miał jeszcze tyle siły, iż ciął straszliwie szablą i gębę sołdata rozpłatał na dwoje.

Ale już czuł, że słabnie, że siły zwolna zaczynają go opuszczać. Więc broniąc się wciąż i cofając małymi krokami zaczął się cicho modlić. Krew ściekała z niego na kamienną posadzkę sieni, znacząc czerwonymi śladami każde jego stąpnięcie.

Gdy wymawiał „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj" — mimo woli pomyślał, że chleb ten jest mu już teraz zgoła zbędny i modlitwa ta staje się próżną. Ale znowu błysnęło mu w mózgu, iż może modlitwa ta przydać się może pozostającym przy życiu braciom, więc snuł ją w myślach dalej... „I odpuść nam nasze winy..." Bagnet sołdacki uderzył go w tym momencie gwałtownie w pierś i zagłębił się aż gdzieś w płucach pewnie...

Spróbował pan Jan ciąć jeszcze, ale już ręka bezwładnie opadła, kolana się pod nim ugięły, więc osuwając się już na kamienną posadzkę, zdołał dokończyć jeszcze — „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom..." — po czym błogość go objęła niezmierna, jakaś słodkość, jak gdyby słodkość raju, jakaś muzyka zagrała mu w duszy, niby muzyka cherubów, grających przed Panem i nie czuł już nic więcej, żadnego bólu dziesiątka bagnetów, które w jednej chwili przeszyły mu tyle kochające serce...

Fala sołdacka przeszła po nim, depcząc podkutymi, brutalnymi butami cuchnącymi dziegciem — jego ciało, ciało człowieka, który wierny pozostał jednej, wybranej i nad wszystko w swej wędrówce ziemskiej — umiłowanej miłości...

Rzuciło się sołdactwo na niedobitków Ciechanowieckiego, drąc ich żądłami bagnetów na strzępy, upojone triumfem i zwycięstwem i wrzeszczące dzikimi głosami swoje niewolnicze „hura"...

## XXIII.

## DROGA NA SZAFOT

Na placu Łukiskim w Wilnie, znajdującym się już prawie poza obrębem właściwego miasta, wznosi się rusztowanie; a na nim pień ogromny, obok — trumna z białych nieheblowanych desek i kosz. Wyniosłe postacie: zakapturzonego, w krwawą czerwień szat ubranego kata z olbrzymim mieczem, na którym był wsparty — i jego dwóch pomocników — górują nad tłumami ludzi, które zaległy cały obszerny plac.

Od rusztowania wieje jakąś grozą, która ściska serca co słabszych ludzi, lękiem i zdaje się, jakby w takich chwilach serca bić przestawały.

Fale zgromadzonego ludu szemrzą i chwieją się chwilami jak łany zbóż na wietrze, to znów milkną i nieruchomieją, jakby zamierały w niepojętej grozie, którą tchnie szafot.

Na wzniesieniu, stanowiącym rodzaj trybuny, zgromadzili się co przedniejsi widzowie, otaczając postać kobiety tak pięknej, jak jakieś nieziemskie zjawisko. Ktokolwiek spojrzy na tę kobietę, tak fascynująco piękną, a patrzą na nią chwilami prawie wszyscy, jakby urokiem jej urzeczeni, pojąć nie mogąc, dlaczego ona tu przyszła, tak piękność jej zdaje się kontrastować z wznoszącym się opodal rusztowaniem.

A piękna dama, uśmiechnięta i wesoła, rzuca od czasu do czasu wzrokiem na drogę, którą mają przyprowadzić skazańca i zauważa:

— Sprawiedliwości nie spieszno jakoś. Możebyś posłał, panie Stanisławie, wiadomość, że my tu czekamy.

— Ach, to nie uchodzi, madame, — odpowiedział pan Rudomina. — Wyglądałoby to tak, jak gdybyśmy chcieli nieomylnej sprawiedliwości rozkazywać.

— A gdybym ja tak dziś istotnie miała moc rozkazywania nawet sprawiedliwości, cóżbyś rzekł?

— Uchyliłbym czoła, albowiem miałabyś, madame, moc iście królewską.

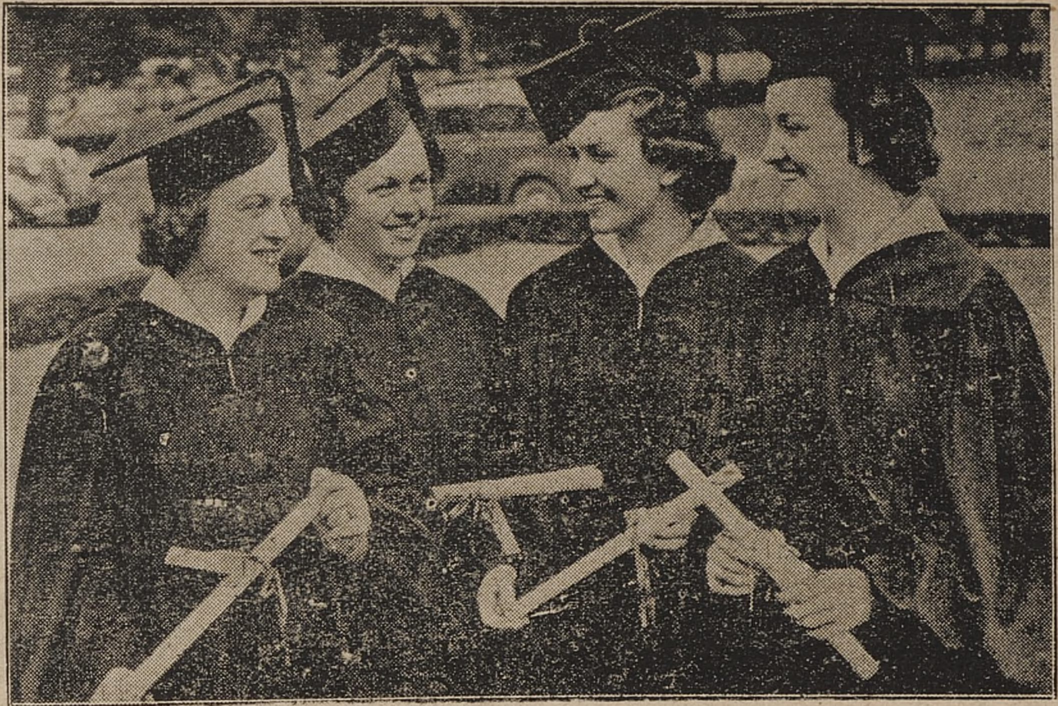
— Nie wierzysz, iżby tak być mogło?

— Twoja piękność, madame, godna jest władzy królewskiej i istotnie posiadasz ją nad tysiącami serc, z których jedno — tu pan Rudomina położył rękę na żabocie — jest ci od lat nieodmiennie wierne.

— A żeby cię przekonać, iż posiadam w danym momencie moc i władzę królewską — spójrzno na to...

Madame Hedwige wzięła z zarękawka złożony w czworo papier i podała go elegantowi. Pan Stanisław przebiegł wzrokiem jego treść i spojrzał zdumiony na piękną towarzyszkę.

— Czyżbyś zamierzała ułaskawić imieniem króla jegomości tego nieszczęśliwca, madame?



Cztery urocze siostry — Roberta, Mona, Mary i Leonia otrzymały 31 maja br. dyplomy ukończenia uniwersytetu amerykańskiego.

— Nie wiem jeszcze — odrzekła z zagadkowym uśmiechem córa Strutyńskiego. — Król jegomość dał mi ten papier z tym jedynie, bym ja sama, według mojej wolnej i nieprzymuszonej woli z nim postąpiła. Wolno mi tedy zrobić użytek z tego papieru i wolno nie zrobić. W danym momencie zależy to jedynie ode mnie samej... I cóż, mam prawo rozkazywać sprawiedliwości, mości Rudomina?

— Masz, madame — skłonił się pan Stanisław, ale co jednocześnie pomyślał, nie byłby tego wyznał za skarby świata.

Gwar tłumów ludzkich, które zakołebały się naraz i zaszumiały, zwrócił uwagę rozmawiających na drogę, po której teraz pachołkowie miejscy prowadzili skazańca.

Z rękami związanymi na plecach, z głową bardzo wzniesioną do góry, z głową bieluteńką, jak mleko, szedł wolno stary Breza, szepcząc pacierze. Rozglądał się wzrokiem spokojnym i łaskawym, jakby żegnał wszystko znajome dokoła: a więc górę Gedymina z resztkami zamku na niej, kopuły katedry i wysmukłe wieżyce kościołów, domy i domki, ulice i ludzi, do których melancholicznie się uśmiechał.

Dostrzegł w tłumach ludzkich czyjąś młodą twarz, która przypominała mu kochaną twarz Józia Ciechanowieckiego i przystanął na moment, ale popchnięty przez pachołka — poszedł znowu przed siebie — drogą na szafot. Jego myśli, pobudzone wspomnieniem ukochanej twarzy młodego panicza, z radością i smutkiem wróciły do przeszłości. Wspominał tedy dawne lata, gdy w domu Ciechanowieckich w Opsie było pięciu młodzieńców dorodnych, jak tury silnych, jak sosny górskie smukłych, a urodziwych, a gładkich... Wspominał igraszki z nimi, zabawy i gonitwy, pełne wrzawy, krzyków, junactwa — i uśmiechnął się błogo do tych lat dawnych... Dziś dwóch z nich w ziemi — trzech pozostałych na obczyźnie, a któż wie, co zawistny los im gotuje?

Wspomina starzec białowłosy życie ze starostą opeskim Janem, od kolebki prawie po grób, i smętna zaduma żłobi mu czoło głęboką bruzdą. Gdzie on teraz, sokół lotny? Czy krąży w tym momencie nad owym placem, pełnym ludzi? Czy widzi swojego wiernego druha-sługę, który szczątki jego do trumny, przez się z mebli zbitej, w szczupłym gronie wiernych przyjaciół na cmentarz brasławski odwiózł, pod brzozą białą, płaczącą ziemi je oddał?

Gdy tak kroczy teraz starzec ku rusztowaniu, wstaje mu w myślach ów niepokój niepojęty, jaki ogarnął go po p zybyciu do pana Michała Glińskiego. Pan Michał, dobry pan, nie chciał go puścić od siebie.

— U mnie zostaniesz na łaskawym chlebie, starcze — mówił — pod moją opieką, bo taka jest wola pana starosty opeskiego, który ją w piśmie swoim jasno wyraził.

Ale starzec nie mógł i nie chciał zostać, więc gdy mu pan Michał koni wzbraniał i nawet pilnować kazał, zmylił raz czujność stary, do parku się wydostał, stąd na pola, z pól do boru i po dwóch dniach zobaczył pałacyk nad jeziorem.

Gdy się doń zbliżył, powitała go martwa cisza i głuchość. Wszedł do sieni i ślady walki krwawej, śmiertelnej, rzuciły mu się od razu w oczy. Rzucił się ku zwałowi trupów, poznał towarzyszów pana starosty. Sołdatów pobitych uprzątnięto, a tych tu zostawiono, na hańbę, na poniewierkę. Zaczął kopać stary Breza w tych trupach, aż znalazł na samym dnie zmasakrowane zwłoki Ciechanowieckiego. Obmył je w wodzie nad jeziorem, potem do komnaty zaniósł, w przystojne szaty ubrał i łzami serdecznymi je oblał. Na rękach go nosił, gdy dziecięciem małem był, tymi samymi rękami do trumny go włoży, sokoła lotnego....

Z desek z mebli wyjętych, zaczął stary trumnę robić. Przyszli chłopi ciekawi zajrzeć, pomogli zwłoki pobitych, na sieni leżące, po chrześcijańsku pogrześć, trumnę dla starosty wykończyć i przystojnie na cmentarzu brasławskim, pod białą brzozą pochować. Pewnie mu tam ona teraz śpiewa dumy smutne, pewnie opowiada o tym, co wśród żywych się dzieje.

Wrócił Breza po pogrzebie do Opsy, bo tu już chciał żywota dokonać. Ale dnia pewnego spadło wojsko carskie, które już po kraju, jak po bezpańskim folwarku się rozbijało — porwało go i do Wilna zawiozło. Tu wtrącono go do turmy, przed sąd stawiono o obrazę majestatu, współudział w rebelii pana starosty opeskiego oskarżono i na ćwiartowanie skazano.

Mniejsza o to. Staremu nie żal życia, dość już się nażył, męczy go życie. Raczej mu iść tam, gdzie wesoły Ksawerek, gdzie lotny sokół Jan, gdzie rodziciele ich... Czy ich też spotka? Czy będzie mógł i tam im służyć?

Idzie starzec ku swojemu przeznaczeniu wolno, poważnie i pacierze szepcze. A gdy wymawia „i odpuść nam nasze winy...“ wzrok jego mimo woli podnosi się na trybunę, pełną strojnych ludzi i spojrzenie jego spotyka się ze spojrzeniem nieszczęsnego Jana Ciechanowieckiego małżonki.

— „Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ — powtarza półgłosem starzec, a po chwili wchodzi na rusztowanie.

— Czyś waćpan zauważył spojrzenie skazańca? — pyta madame Hedwige stojącego obok Rudominy.

— Tak, było to spojrzenie pełne pokoju i przebaczenia, madame.

— Mylisz się, waćpan — to było spojrzenie wzgardy i nienawiści i jeśli wahałam się dotąd, zali nie okazać owego papieru z łaską królewską, teraz się już nie waham — oto, co zrobię z tym papierem...

Madame Hedwige poszarpała dokument w drobne kawałki i zdeptała strzępy nogami.

A już też herold miejski wstąpił na podwyższenie i wszem wobec ogłaszał wyrok trybunału, mocą którego Mikołaj Breza skazany został na ćwiartowanie. Gdy zaś załatwione zostały wszelkie formalności sprawiedliwości ziemskiej, gdy już otwarto skazanemu wolną drogę do wieczności, porwali pomocnicy kata starca i rozciągnęli go na rusztowaniu, układając mu głowę na pniu. Kat podniósł ciężki miecz do góry...

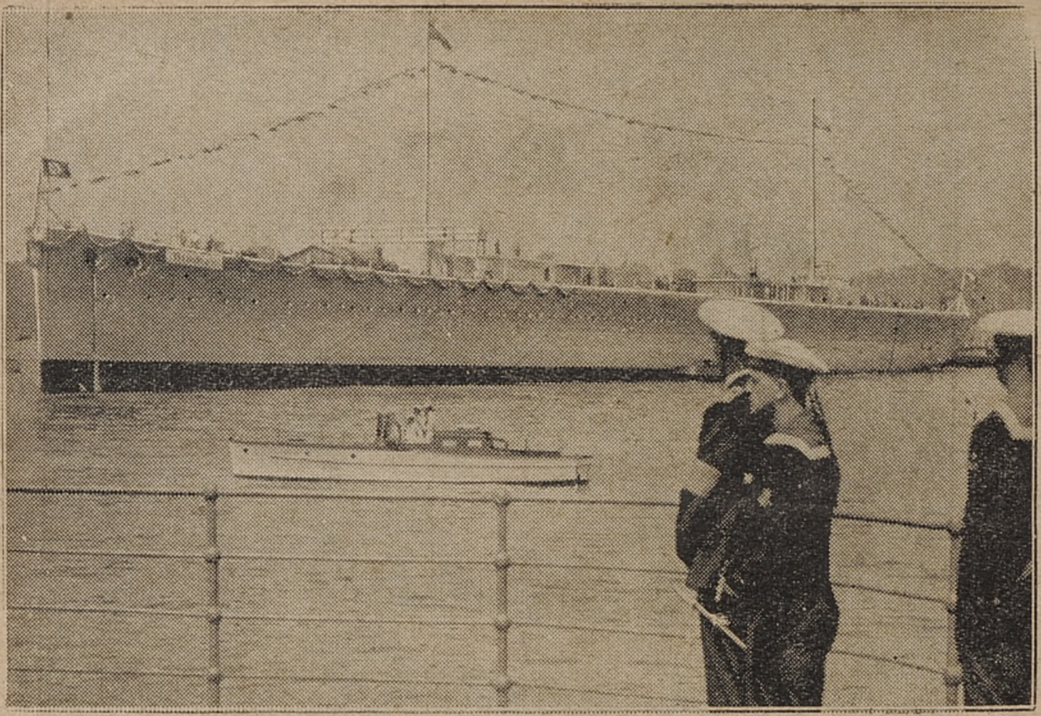
Pani Jadwiga, wsparta na balustradzie, szeroko otwartymi źrenicami wpatrywała się w tę okropną scenę. Pan Rudomina i inni rycerscy ludzie, którzy w walce wręcz śmiało stawali, tym razem przymknęli oczy, nie chcąc patrzeć na ów mord bezbronnego człowieka.

Miecz katowski ze świstem przeciął powietrze i spadł na wygoloną szyję starca. Głowa odskoczyła od tułowia i wpadła do stojącego obok kosza, a z tułowia buchnął strumień krwi.

Tu i ówdzie rozległy się spazmatyczne krzyki kobiet, bolesne jęki i ciężkie westchnienia. Groza przeszła przez tłumy. Pan Rudomina zachwiał się, oznajmiając, iż mu słabo się robi.



Na zdjęciu widzimy uśmiechniętych marynarzy na burcie francuskiego statku wojennego „Jeanne d'Arc", na którym szkolą się przyszli oficerowie.



Ciężki krążownik niemiecki „Blucher" po spuszczeniu na wodę.

— I waćpan to powiadasz, mąż? — zdziwiła się madame Hedwige.

— Nie byłem nigdy oprawcą, madame — rzucił gniewnie pan Stanisław i odwrócił się tyłem do szafotu.

Tymczasem na rusztowaniu zakończony był zaledwie pierwszy akt wyprawiania do wieczności nieszczęsnego skazańca, bo oto kat znowu podniósł swój straszliwy miecz, ćwiartując martwe już zwłoki starca. Ale on nic już nie czuł i nie widział chociaż martwymi, szklistymi źrenicami wpatrywał się w owo ćwiartowanie swego tułowia i zdawał się drwiąco uśmiechać zsiniałymi i zakrwawionymi ustami.

Madame Hedwige wpatrywała się w ową scenę do końca i zeszła z trybuny wtedy dopiero, gdy pomocnicy kata zaczęli po kawałku układać pocięte zwłoki Brezy do trumny. Ale i wtedy jeszcze obejrzała się i uśmiechnęła zadowolona, iż zemście jej stało się zadość. Dwa sny o zemście ziściły się.

## XXIV

## SZCZĘŚCIE WE KRWI SKĄPANE

Na drugi dzień po śmierci Jana Ciechanowieckiego udzielony mu został rozwód z Jadwigą hrabianką Strutyńską. Teraz, gdy Ciechanowiecki spoczywał snem wiecznym pod zwałem trupów w sieniach swojego pałacyku nad drzemiącym jeziorem opeskim, frakcja familijna nie chciała już dłużej przeciwić się rozwodowi, przeciwnie — na wyraźne żądanie króla — został on pośpiesznie udzielony.

Madame Hedwige była teraz podwójnie wolną: raz jako wdowa, drugi jako rozwódka. Nie myślała jednak przywdziewać szat wdowich, nie myślała się martwić. Zemsta, która dosięgła Jana — otwierała jej drogę do wyższych regionów, a marzenia jej i ambicje nieba samego niemal sięgały.

— Teraz już nic nie stoi na przeszkodzie naszemu szczęściu — mawiała części, gdy do zacisznego jej gniazdka przybywał król, by cieszyć się pieszczotami kochanki. — Tamten nie legnie już cieniem między tobą, mój ty królu najdroższy, a mną.

— Nie legnie — powtarzał Stanisław August. — I wierz mi, cara mia, iż ja niemniej od ciebie się cieszę.

— Mój żeś ty, mój... — wołała wtedy w tęsknocie i podsuwała mu usta swoje, jego pieszczot spragnione, a on brał ją w ramiona, jak cacko, jak zabawkę najcenniejszą i pieścił jej usta, jej oczy cudne, nie mające sobie równych w Rzeczypospolitej.

Popłynęły im znowu dni, tygodnie i miesiące w szczęście jak w bajce, jak w raju jakim zaczarowanym. Król się kąpał w miłości i rozkoszach, tonął w szczęściu — nie pomny na nic. Wprawdzie nierząd możnowładców rozsadził już wszelkie przegrody, rozwalił słupy graniczne, a czarny dwugłowy orzeł od wschodu coraz większe połacie kraju obejmował w swoje szpony, wprawdzie gmach Rzeczypospolitej walił się już z niepokojącym trzaskiem i hukiem, ale objawy zła, objawy anarchii, nierządu, przedajności, objawy targania czerwonego sukna kraju przez możnowładców, pragnących wykroić zeń płaszcze wielkoksiążęce dla siebie — widzieli tylko nieliczni. Większość była głucha i ślepa na zagrażającą Rzeczypospolitej ruinę, a najgłuchszym na wołania patriotów był sam król jegomość.

Wszystko się waliło, ale zamknięci w owym gmachu ruiną grożącym ludzie — bawili się i ucztowali, kochali się i zdradzali własny kraj, własne żony, własnych mężów. Polska stała już nie tylko nierządem politycznym i gospodarczym, ale nierządem w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Zdawało się, że magnaci polscy, a z nimi większość bezmyślnej hassy szlacheckiej, tknięci zostali jakimś obłędem, że wszelkie dotychczasowe wartości odwróciły się nagle do góry nogami, że cnota stała się liczmanem bez wartości, a wszelka zdrada, nawet najjawniejsza — cnotą. Balowano, ucztowano, kochano się, zdradzano się i tańczono na trupie Polski z jakąś tragiczną bezmyślnością i czelnością. A wśród tych rzesz tańczących i balujących szedł król, ów primus inter pares — pierwszy wśród równych, na czele z panią Jadwigą Strutyńską i dziesiątkami innych metres, których mu nigdy nie zbrakło, boć nawet wielcy panowie podsuwali najjaśniejszemu panu własne żony i własne córki, by tym łatwiej mogli kupczyć Ojczyzną i grabić dobro publiczne.

Epoka stanisławowska, podnoszona jako epoka oświaty i kultury, oczywiście w odniesieniu li-tylko do stanu magnacko-szlacheckiego, bo chłop, bo rodzący się proletariat i mieszczaństwo w rachubę przecież nie wchodzili — była epoką największego łotrowstwa i najjawniejszej zdrady w Polsce. I zdrady tej nie może usprawiedliwić nic, choćby najwyższy poziom kultury i oświaty, choćby nawet to, gdyby najporządniejszy obywatel posiadał w kieszeni patent wyższego wykształcenia, a zbiory muzealne zawierały skarby sztuki całego świata.

Braniccy, Ponińscy i legion im podobnych, kupczyli własną Ojczyzną, frymarczyli połaciami kraju za jurgielt wypłacany z kasy carycy moskiewskiej, a król się bawił, a król się kochał, na wszystko zezwalał i o jedno mu jeno chodziło, aby jak najdłużej pozwolono mu na tę zabawę.

Panowie zezwalali na to, a rabując i frymarcząc krajem, jeszcze wołali:

— My zbawiamy Ojczyznę!...

Lecz zaciągnijmy zasłonę na tę potworną epokę i pozwólmy historykowi na jej rozpamiętywanie, a my zajmijmy się wątkiem naszego opowiadania na tle tej rozpasanej epoki.

Uwolniona od widma pierwszego męża, rzuciła się Strutyńska w wir balów i uczt, jednemu tylko nieodmiennie wierną pozostając, a to swojemu przywiązaniu do Stanisława Augusta.

Gdy rozeszły się pogłoski o mającym jakoby nastąpić małżeństwie króla, przybiegła do niego prawie ze łzami i błaganiem:

— Królu mój!... Więc mnie chcesz porzucić? Więc pogardzasz moją miłością, tyle ci wierną?

Zdumiony król popatrzył na kochankę, nic nie pojmując.

— Porzucić... pogardzić? Cóż to znaczy? — zapytał poważnie.

— Nie próbuj mnie okłamywać, nie próbuj się wykręcać, toć już jawnie mówi się na dworze o twoim bliskim małżeństwie.

— O moim małżeństwie? Hedwige, cóż ci znowu do pięknej główki przyszła za myśl?

— Więc to nieprawda?

— Ani prawda, ani nieprawda, ale poprostu plotka z palca wyssana.

Jadwiga odetchnęła z ulgą. Jednak nie dowierzała królowi. Coś w tym być musiało, jakiś choćby tylko cień prawdy. Po chwili, objąwszy swego królewskiego kochanka, zaczęła szeptać mu czule do ucha:

— Czy domyślasz się nowiny?... Radosnej nowiny?

— Nowiny? Nie, nie domyślam się — powiedz mi ją więc, bym i ja cieszył się nią, skoro jest dobra.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

ADAM NASIELSKI

9)

# Tajemnica zamkniętego gabinetu

Co mogła oznaczać propozycja zabójcy. Może miał nadzieję zatarcia innych śladów przeciwko niemu świadczących. Chyba jednak nie, albowiem i to, co dotychczas stwierdzono wystarczało dla jego skazania. Więc... Ostatecznie, godzina, to bardzo krótki okres czasu i można się na to zgodzić. Nie wolno zapomnieć, że Jerzy Makarski może jest obłąkany — zdrowy człowiek nie podejmował by takich... eksperymentów.

Ponad to detektyw-psycholog przyrzekł sobie w duchu, że będzie w tym czasie ostro obserwował mordercę w poszukiwaniu oznak umysłowej nienormalności. Rzecz dziwna, Jerzy Makarski zdawał się czytać w myślach inspektora, czego dowodem były jego słowa:

— I jeszcze jedna uwaga przekonywująca, panie isnpektorze. Może się wydać, że zabiłem Stokowskiego w celu samobójstwa rozszerzonego — stwierdzam więc, że tak nie jest.

Widocznie ocenił namysł Żbika, jako wahanie. Tym lepiej.

— Dobrze. Nie powinienem tego uczynić, ale daję panu godzinę czasu i będę nawet służył wszelką dozwoloną pomocą — choć Bóg mi świadkiem, iż nie rozumiem, co pan może uczynić przez tak krótki czas, co by podważyło niezbite fakty.

Przez krótką chwilę Jerzy Makarski wpatrywał się z wyraźnym zainteresowaniem w twarz detektywa.

— Pan musi mnie jednak uważać za wariata, prawda, inspektorze? Odciski palców, klucz w kieszeni, zamknięte drzwi — a ja chcę ni stąd ni zowąd wykazać, że Erazma Stokowskiego zabił duch, zjawa. Powieść sensacyjna...

Zamilkł naraz i uśmiechnął się z sarkazmem.

— Najciekawszy jest chyba fakt, że ja sam nie wiem co zrobię. Może to wydać się niesamowite — ale na podstawie dotychczasowych dowodów sam zaczynam wierzyć, że zabiłem Erazma Stokowskiego. Dalibóg, sam szukam przyczyny. Proszę moją gadaninę ocenić jako arcynudną i głupią, manjacką — jeżeli powtórzę, że jedno, co wiem to — że ja nie zabiłem. Ja nic o tym nie wiem. Spałem.

Uchwycił przyzwalające spojrzenie detektywa i bez wahania skierował się pierwszy ku drzwiom owego pokoiku, sąsiadującego z gabinetem zbrodni. Był to również miniaturowy gabinet bez okien. Oświetlony lampką nad biurkiem. Obok fotel i w rogu sofka z ceratowym obiciem i półka z książkami. Bernard Żbik odczytał grzbiety: Delbrück — Gerichtliche Psychopathologie, Lipmann — Grundriss der Psychologie für Juristen, Max Simon — De l'expertise mentale. Dowodziły one, że Jerzy Makarski nie skłamał i rzeczywiście z amatorstwa zajmował się medycyną kryminologiczną.

Drzwi pokoiku zamykały się szczelnie. Inspektor zbadał je i stwierdził, że mogły nie przepuszczać nawet głośnego krzyku. Lecz to w końcu nie miało znaczenia. Zamknięty teren, klucz w kieszeni, groźby, — odciski palców.

Jerzy Makarski wskazał na biurko. Stała na nim karafka wody, filiżanka kryształowa i szklanka na spodku z resztkami herbaty.

— Zacznę od początku i szukajmy razem. Jeżeli ja nie zabiłem — zechce pan to wziąć za podstawę rozumowania w czasie darowanej mi uprzejmie godziny — to zabił ktoś inny. Nazwiemy go szablonowo „zet". Więc... — O której godzinie słyszał pan krzyk w telefonie w konsekwencji którego pan i Downar zbiegliście do zamkniętych drzwi?

Bernarda Żbika zrazu oszołomiło to pytanie, zadane głosem pewnym i stanowczym. Swoją drogą podziwiał opanowanie Makarskiego, jego energię — patalogiczną, czy udaną, to inna sprawa — i siłę woli aktorskiej.

— Była punktualnie czwarta — odpowiedział rzeczowo.

— Dziękuję, inspektorze. A zatem, według mnie, sprawa przedstawia się następująco: Dziś rano przybyłem o normalnej porze do banku i pracowałem do godziny drugiej, jak zwykle. Szef podyktował mi trzy listy, polecił mi zreferować prasę fachową — lecz stwierdzam, że Erazm Stokowski był przez cały czas zdenerwowany, jakoś i patrzał na mnie dość dziwnie. Mógłby to również potwierdzić jego radca prawny, adwokat Orabicki, który był tu dziś na dwugodzinnej konferencji z szefem.

— Dlaczego wrócił pan po obiedzie do banku?

— Chwileczka, inspektorze, opowiem o wszystkim po kolei. O drugiej pożegnałem się z szefem i udałem się na obiad. Stamtąd, jem w restauracji, chciałem iść do kina, gdy przypomniałem sobie, że zostawiłem na biurku otwarte wieczne pióro bardzo drogiej marki.

Sięgnął do kieszonki i zamilkł, zażenowany, zwracając się do aspiranta: — Pan zabrał mi je w czasie rewizji.

Inspektor otworzył teczkę.

— Czy to jest to pióro.

— Tak. Jak pan widzi, piekielnie drogie, a ja jestem biedny chłop. I nasz woźny, Franciszek, to patałach i gapa, mógłby złamać pióro jak nic. Wróciłem więc o — zdaje mi się, że to było pięć po pół do trzeciej, restauracja jest tuż obok i ja jem zawsze bardzo prędko, co może pan sprawdzić u kelnerki. Zapukałem tedy do drzwi nieszczęsnego gabinetu i otworzył mi sam dyrektor. Siedział przy biurku. Pisał coś zawzięcie. Mruknąłem przepraszam, on nawet na mnie nie spojrzał — i...

— Powiedział mu pan, po co pan wrócił.

— Nie przeprosiłem go tylko, gdyż nie lubiał, gdy mu zawracano głowę drobiazgami. Uważał się trochę za coś ponadnormalnego i nie znosił szczegółów nieistotnych.

— To znaczy?

— Takich, które się, nie inwestowały pieniężnie.

— Proszę opowiadać dalej...

— Będąc już na miejscu, tu przypomniałem sobie raczej niż pomyślałem, że właściwie mogę sobie trochę odpocząć po obiedzie i poczytać. Bardzo lubię czytać. Zdjąłem z półki książkę...

— Jaką?

— Tę, leżącą na biurku, którą pan teraz wziął do ręki. Tytuł: Körperbau und Charakter, Kretschmera. Założona, o ile pamiętam na rozdziale: „O usposobieniu cyklicznym i schizoicznym".

Zgadzało się! Bernard Żbik zawahał się poraz pierwszy. Lecz milczał. Odłożył książkę na to samo miejsce na biurko.

— Czułem się z rana trochę źle, gardło mnie nieco bolało i nie mogłem nawet wypić herbaty — lecz potem w toku pracy to minęło. Zasiadłem więc do czytania. W międzyczasie wypiłem herbatę, której resztki pan tu widzi. Przeczytałem pół rozdziału i zdrzemnąłem się, co

zdarza mi się często nad książką i o takich porach — ale nigdy tak mocno, abym nie słyszał, co się dzieje za ścianą. Te drzwi są wprawdzie dość szczelne.. — jak pan zauważył, inspektorze.

— Co było potem.

— Nic. Obudziłem się, pogwizdując wszedłem do drugiego pokoju, ponieważ zdziwiło mnie jasne światło, zauważyłem pana, i potem trupa — aby zostać aresztowany pod zarzutem dokonania ohydnego morderstwa, o którym nie miałem pojęcia. Resztę pan zna. I to jest prawda...

Jerzy Makarski westchnął ciężko, przetarł czoło dłonią i nalał sobie z karafki pełną filiżankę wody, którą wypił jednym haustem. Potem sięgnął pokolei do dwóch kieszeni swej marynarki, gdy przypomniał sobie, że mu je opróżniono. Spojrzał z konsternacją na detektywa.

— Czy mogę prosić o papierosa. Zdenerwowałem się.

Podziękował krótkim skinieniem głowy za podaną mu przez Żbika papierośnicę i zapałki. Inspektor widział jednak wyraźnie, że płomień przytknięty do papierosa drżał. Makarski nie przesadzał więc — był istotnie podniecony i wzruszony.

— Tak, panie inspektorze. Oto jest sprawa. Gdy aspirant znalazł w mojej kieszeni klucz i potem powiedział mi o odciskach palców — poprostu zdębiałem i przez sekundę chciałem wierzyć, że to ja zabiłem w jakiś cudowny sposób człowieka, do którego nie czułem żadnej nienawiści, ojca mojej narzeczonej i osobnika, którego zresztą podziwiałem szczerze za jego zdolności, energię. Erazm Stokowski był swego rodzaju moim ideałem. No, i teraz mam zostać skazany za jego zamordowanie. Czy można się więc dziwić, że głowa omal nie pęka mi z myślenia. Jak, kiedy — i kto go naprawdę zabił. Trzeba poszukać.

Bernard Żbik oparł się o fotel. Był również skonsternowany. Czuł jakiś niezrozumiały wstyd przed tym, co musiał oświadczyć Jerzemu Makarskiemu.

— Nie mogę wierzyć temu, co pan opowiedział.

— Ależ — pan musi! — Spojrzał na zegarek. Jeszcze czterdzieści pięć minut, przyrzekł mi pan. Niech pan uwierzy. Niech pan szuka, biorąc za podstawę, że to co opowiedziałem, jest prawdą. Pan jest wybitnym kryminologiem, fachowcem, człowiekiem o słynnej domyślności. Proszę przez te trzy kwadranse, szukać z mojego punktu widzenia.

— Więc jak pan sobie to usiłuje wyobrazić. Pan śpi — powiedzmy — w tym pokoju. Zdrzemnął się pan przy czytaniu. Do gabinetu na kwadrans przed pańskim obudzeniem się wchodzi morderca i zamyka za sobą drzwi na klucz — a Stokowski nic, czeka na podejście swego mordercy, chociaż wie, że mógłby zawołać o pańską pomoc, bo pan jest u siebie. Stokowski czekał cicho, zbrodniarz dochodzi i wpija nóż w jego plecy. Stokowski zamiast wołać o pomoc młodego, zdrowego człowieka, pana, chwyta telefon i woła Downara. W tym samym czasie, zbrodniarz wchodzi do tego gabinetu wkłada klucz do kieszeni pana — a pan drzemiący nie czuje tego. Po tym, morderca w jakiś cudowny sposób fabrykuje pańskie odciski palców na sztylecie, którym on zabił i ulatnia się pocichu przez dziurkę od klucza zamkniętych drzwi. Proszę stwierdzić trzeźwo — jak ja mam w to uwierzyć. Jak sąd może dać wiarę insynuacji cudów?!

Jerzy Makarski zbladł naraz, przyłożył obie dłonie do szyi, jakby chciał rozerwać kołnierzyk — jakby się dusił.

— Czy może mi pan pokazać sztylet?

Inspektor wyjął z teki kindżał ze znakiem Ozyrysa na trzonie. Makarski spojrzał na narzędzie zbrodni i zwrócił je inspektorowi. Był w tej chwili niesamowicie spokojny.

— Zaraz. Zaraz...

Aż usiadł z wrażenia. Nie odzywał się może przez pięć minut. Aspirant i inspektor czekali cierpliwie. Gdy młody człowiek podniósł głowę ujrzeli obaj na jego twarzy ten wyraz zaciętej stanowczości, który Żbik zauważył już przed tym.

— Panie inspektorze! Zdaje mi się... że zrozumiałem. Czy... czy pan nie znalazł na biurku zmarłego jakiegoś papieru... notatki do mnie.

Tylko na chwilę ukazał się cień uśmiechu w kącikach warg inspektora. Skąd Jerzy Makarski wiedział o notatce. Mimo to Bernard Żbik bez wahania wyjął z teczki ostatni z dowodów rzeczowych, ową notatkę giełdową i wręczył ją oskarżonemu. Ten przebiegł po niej wzrokiem, odwrócił ją i przeczytał ołówkiem niewyraźny dopisek. Twarz jego przybrała barwę jasnego popiołu. Inspektor Żbik postanowił wykorzystać ten moment.

— Co oznacza: Ozyrys, panie Makarski?

— Ozyrys to...

Jerzy Makarski nie dokończył. Schwycił się nagle rękami za gardło, wciągnął gwałtownie oddech i runął jak sztywna kłoda na podłogę u stóp biurka. Aspirant przyskoczył i dźwignął go.

— Atak sercowy — szepnął do inspektora.

— Zejdź, usiądź do samochodu i sprowadź doktora Dalczewskiego, lub pogotowie. Dalczewski mieszka na Koszykowej, tuż obok.

Widocznie Jerzy Makarski nie mógł znieść myśli o swym aresztowaniu, może żałował swego czynu. Inspektor umieścił go wygodniej w fotelu i zwilżył jego twarz zimną wodą. I wtedy odrazu stwierdził okrutną prawdę. Jerzy Makarski nie żył. Może to lepiej — pomyślał Bernard Żbik — uniknął hańby procesu i wieszania...

Czekał w milczeniu aż do przybycia Adama Bilewskiego z doktorem Dalczewskim.

— Drugi raz już odciągacie mnie od naszej funkcji pożywienia. Dostanę przez pana niestrawności.

Lekarz policyjny spojrzał na poważną twarz głównego detektywa i odechciało mu się żartów.

— Aspirant mówił mi o ataku sercowym.

— Już po wszystkim, doktorze. Umarł.

— Co pan tam wie! Jestem, jak powszechnie wiadomo, lekarzem i ja muszę skonstatować śmierć. Swoją drogą, ten młody miał szczęście. I tak...

Dr. Dalczewski urwał gwałtownie. Wprawnemu oku specjalisty wystarczył jeden rzut. Nie czekając na dalsze pytania, zbliżył się do trupa

— Latarkę! — syknął — zapomniałem swojej.

Oświetlił gałki oczne, zbadał kąciki warg zmarłego i wyrzekł słowo, którego Bernard Żbik oczekiwał i przed którym drżał jednocześnie — bo stawiało go ono wobec hypotezy absurdu i zjawisk nadprzyrodzonych. Dr. Dalczewski orzekł krótko.

— Ten człowiek nie umarł na atak sercowy. Jerzy Makarski — tak mu, zdaje się, na imię — został otruty!

Oświadczenie doktora wywarło na aspirancie silne wrażenie — ale to zbladło wobec niesamowicie spokojnych i z przeświadczeniem wypowiedzianych słów Bernarda Żbika:

— Spodziewałem się tego.

— Jak to! — ośmielił się lekarz — Domyślał się pan, że on ma zamiar popełnić samobójstwo i nie przeszkodził pan temu?

— Jest pan naiwny, doktorze. Jerzy Makarski nie popełnił samobójstwa. On został zamordowany.

## XI.

### Na rozdrożu

Wrażenie słów inspektora było ogromne. Ani na chwilę nie wpadło obecnym na myśl wątpić w jego wniosek lub podejrzewać go o żart. Jako stali współpracownicy wielkiego detektywa znali go nazbyt dobrze, aby nie odnieść się doń poważnie. Aspirant Bilewski z wielkiego podniecenia sięgnął po papierosa i zużył do jego zapalenia cztery zapałki. Palce drżały mu ze wzruszenia i ze... strachu. Bo jeżeli...

Dr. Dalczewski również zaniemówił ale on pierwszy odzyskał panowanie nad nerwami. Jako doktór medycyny i lekarz policyjny był jednak obyty z takimi sytuacjami i uodporniony na podobne wzruszenia bardziej niż inni.

— Na czym opiera pan swe przeświadczenie? Znam przecież okoliczności tej sprawy i nie rozumiem jakby to było możliwe...

— Ja też nic nie rozumiem — przerwał mu Żbik. — Podejrzewając atak sercowy, skropiłem twarz zmarłego wodą. Wtedy to zauważyłem, że tu już żadna pomoc nie jest potrzebna. Przestał oddychać i puls zero. Jednocześnie spostrzegłem coś innego. Kilka kropel wody spadło na biały kołnierzyk Jerzego Makarskiego. Proszę obejrzeć te fioletowe plamy na bieli płótna.

Lekarz przytaknął.

— Więc jak, na Boga. Kto zabił Stokowskiego?

— Nie jestem biegłym chemikiem — ciągnął Żbik, ignorując narazie pytanie — i orientuję się tylko powierzchownie. Mam jednak stuprocentową pewność i przekonanie, że analiza wody w karafce wykaże zawartość jakiejś śmiertelnie działającej trucizny, a resztki herbaty w szklance obecność środka nasennego, działającego błyskawicznie.

— To kto zabił Stokowskiego? — ośmielił się wtrącić aspirant, którego gnębiło to samo pytanie, co lekarza i.. Bernarda Żbika.

— Pozwólcie mi najpierw wyłuszczyć moją hypotezę. Mordercy — użyjmy terminu nieboszczyka „zet" — chodziło o podwójny zamach. Pierwszy pewny — to Erazm Stokowski, drugi ewentualny — Jerzy Makarski, gdyż obaj oni znali tajemnicę Ozyrysa! Zaprawił więc herbatę poranną Makarskiego środkiem nasennym działającym momentalnie. Jerzy Makarski urzędował stale przy boku szefa i jego obecność stała na przeszkodzie w zasztyletowaniu tego ostatniego. Niestety, młody człowiek rano nie wypił tej herbaty i dlatego mord miał miejsce dopiero o czwartej kiedy to a) morderca „zet" nie wiedział o jego obecności, bądź też ściślej mówiąc wiedział o jego zwykłej nieobecności, lub też b) wiedział o jego obecności i wypiciu herbaty i w konsekwencji o śnie.

— Dlaczego Makarski rano nie wypił herbaty, Sherlocku?

— Dlatego, doktorze, że — jak sam to wyjaśnił — „czułem się rano trochę źle, gardło mnie bolało i nie mogłem nawet wypić herbaty". Ten fakt przesunął termin zabójstwa Stokowskiego. Na nieszczęście dla siebie, Makarski wrócił po swoje pióro. Wypił herbatę i zasnął. Herbata była już wtedy zimna a nie zapominajmy, że Jerzy Makarski był lekarzem i wiedział, że nie należy pić gorących płynów na ból gardła. To był prawdopodobnie powód rannego niewypicia.

Dr. Dalczewski spojrzał z podziwem na swego przyjaciela. Zawsze podziwiał w nim cudowną erudycję, połączoną z szybkością logicznego wnoskowania i myślenia.

— Przypuśćmy, że dotychczas zgadza się, lecz jak został dokonany mord na Stokowskim?

— Prawdopodobnie bez cudu. Morderca wszedł, zakłół Stokowskiego i ten zaczął wołać o pomoc Makarskiego. Wówczas zabójca wszedł do tego pokoju i zauważył śpiącego. Wówczas może zatruł wodę w karafce. I wtedy może wpadł mu na myśl piekielny sposób zwalenia winy na Makarskiego, sposób, który z rana zawiódł, bo Makarski nie wypił środka nasennego. Zabójca włożył mu klucz do kieszeni.

— Z czego wnioskujesz, że zabójca chciał zwalić winę na Makarskiego? — zapytał aspirant i zarumienił się, bo sam natychmiast zrozumiał

— Odciski palców, Adasiu. To nie może być przypadek. Przypomnij sobie pytanie Makarskiego o sztylet. On musiał już przed tym mieć ten kindżał w ręku i wtedy zostawił na nim ślady palców. Potem zabójca trzymał sztylet przez chusteczkę i... rozumiesz.

Logiczne rozumowanie Żbika było bez zarzutu, a jednak doświadczony stary lekarz, dr. Dalczewski pokiwał głową z powątpiewaniem.

— Wie pan, że o ile o mnie chodzi, wierzę panu w zupełności. Wątpię jednak czy prokuratura uwierzy. Skąd naprzykład morderca mógł mieć pewność, że Makarski napije się wody z karafki.

Zaczekam z tym do analizy. Jednak już teraz mogę stwierdzić, co następuje: 1) Obecność karafki dowodziła, że Jerzy Makarski miał zwyczaj częstego popijania wody. Ja naprzykład też mam ten zwyczaj. 2) Środek nasenny, zawarty w herbacie — jak każdy środek nasenny — wywołuje pragnienie po obudzeniu. Przeto twierdzę, że: a) początkowy plan mardercy polegał na oskarżeniu Makarskiego o mord — czego dowodzi niezbicie sfabrykowanie odcisków palców i że b) dopiero o czwartej morderca wlał truciznę do wody w karafce.

— Bardzo ładnie — ale pan prokurator powie inaczej. Primo — odciski palców na trzonie kindżału są rzeczywistymi daktyloskopami Jerzego Makarskiego, więc on zabił. Secundo: Jerzy Makarski po czynie i widząc, że nie zdążył uciec — popełnił samobójstwo. Śledztwo zostanie umorzone i basta.

— Postaram się przekonać naczelnika, że ja mam rację.

— I na pewno uda się panu — bo mają szacunek przed inspektorem Berardem Żbikiem Lecz co pan osięgnie: nadszarpanie nerwów i jedną bezsenną noc więcej. Poza tym — twierdzi pan, że w dramacie brały udział trzy osoby: Stokowski, Makarski i ów „zet", morderca. Jak mam sobie wyobrazić jego zniknięcie?

— Doktorze — uśmiechnął się Bernard Żbik nieznacznie — nie piszemy przecież teraz powieści sensacyjnej, w której autor dla efektu gotów jest naciągać sytuację do absurdu i umyślnie nie dostrzegać niewygodnych efektownie szczegółów. Morderca mógł przecież wziąć woskowy odcisk klucza i sfabrykować sobie duplikat. To potrafi dziś każdy osiołek który czyta Wallace'a.

— Dobrze. Więc jak wyglądałaby sprawa pod względem chronologii terminów? O czwartej...

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie*

**Niedziela, dnia 27 czerwca 1937 r.**

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Katowic Po nabożeństwie przemówienie Wojewody Śląskiego dr. Michała Grażyńskiego 12.03 W krainie bajek i legend — poranek w wyk. Ork. P.R. 13.10 Koncert rozrywkowy w wyk. Ork. T. Seredyńskiego 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Piosenki ludowe w wyk. Chóru Alojzego Naremby 16.25 Mischa Elman gra (płyty) 17.00 Wesołe słuchowisko pt. „Ministerstwo humoru" 18.00 Koncert rozrywkowy w wyk. zesp. St. Rachonia 20.00 Piosenki i melodie rumuńskie (płyty) 21.00 Wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Koncert żeńskiego zespołu kameralno-wokalnego.

**Poniedziałek, dnia 28 czerwca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.03 Transmisja fragmentu 17-go Zjazdu Katolickiego w Poznaniu 12.50 Praca dziecka w lecie — pogadanka dla gospodyń 16.00 Antoś chce być technikiem: — Ujarzmiamy żywioł wodny 16.15 Pieśni ludowe w wyk. chóru szkoły powszechnej nr. 53 w Łodzi 16.45 Książę Pante Kochanku — felieton 17.00 Koncert Orkiestry Filharmonii Warszawskiej (z Ciechocinka) 17.50 Co się dzieje w naszym ogródku — pogadanka 18.15 Piosenki w wyk. Mariana Demara i Wiery Gran (płyty) 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Audycja Organizacji Młodzieży Pracującej (OMP.-u) 20.05 Koncert Ork. Wojskowej 21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni 21.01 Przemówienia Przedstawicieli Marynarki Wojennej Ligi Morskiej i Kolonialnej m. Gdyni 21.15 „W gospodzie „pod Zielonym Węgorzem" — aud. słow. muz. 22.00 Recital śpiewaczy Dunki Sleczkowskiej (ze Lwowa) 22.20 „10-tą rocznicę sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego do Grobów Królewskich na Wawelu 22.35 Muzyka (płyty).

**Wtorek, dnia 29 czerwca 1937 r.**

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja z portu w Gdyni 9.50 Transmisja z Poznania 12.03 Przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. I Mościckiego z okazji Święta Morza 12.15 „Morze" — poranek muzyczny w wyk. Ork. P.R. 13.15 Transmisja framgentów uroczystości Tygodnia Morza Przemówienie gen. broni Kaz. Sosnkowskiego 14.00 Koncert rozrywkowy (płyty) 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Transmisja z Poznania fragm. międzynarodowej demonstracji przed pomnikiem Serca Jezusowego 16.15 Koncert Ork. Tadeusza Seredyńskiego 16.45 „Łęczyckim szlakiem — felieton 17.00 Dookoła miłości — w wyk. Krak. Kwartetu Schrammla 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie (płyty) 19.00 „Pogotowie brydżowe" — skecz 19.15 Utwory skrzypcowe w wyk. Józefa Kamińskiego 20.00 „Hej ty Wisło" — suita ludowa M. Rudnickiego (Transmisja z Teatru na wyspie w Łazienkach) 20.30 Audycja konkursowa 21.00 Capstrzyk Marynarki Wojennej w Gdyni 21.01 Gdynia w dniu Tygodnia Morza 21.10 Humoreski i fraszki 21.45 „Opowieść o bursztynie" — fragment z noweli 22.00 „Nad brzegiem Bałtyku" — koncert.

**Środa, dnia 30 czerwca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert popularny w wyk. Orkiestry Ułanów Jazłowieckich 16.00 „Z naszego warsztatu" — szkic literacki 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Tria Salonowego Rozgł. Kat. 16.45 „Łodzie podwodne wczoraj a dziś" — odczyt 17.00 Koncert solistów 18.15 Gwiazdy „Casino de Paris" śpiewają (płyty) 19.00 Słynni dyrygenci — Pierro Monteux (płyty) 20.15 Muzyka salonowa 21.00 Koncert chopinowski (Transm. do Ameryki i Niemiec) 21.40 „Kaprowie Zygmunta Augusta" — fragm. noweli 21.55 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Ork. Wileńskiej.

**Czwartek, dnia 1 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra rozrywkowa 16.00 Bajki Kiplinga — recytuje dla dzieci M. Maszyński 16.15 Chór Pracowników Kolejowych „Syrena" we Lwowie 17.00 Transmisja odpustu z Budsławia 18.15 Koncert popularny 19.00 Słuchowisko oryginalne pt. „Dzieło jedności i zgody" 20.00 Koncert muzyki lekkiej 21.05 Muzyka taneczna 21.45 „Ostatnie zwycięstwo" — fragment z powieści 22.00 Koncert solistów.

**Piątek, dnia 2 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego 16.15 Koncert solistów 16.45 Reportaż z Wystawy Paryskiej 17.00 Koncert orkiestry Filharmonii Warszawskiej 18.10 Orkiestra Marka Webera i soliści (płyty) 19.00 Koncert kameralny (z Poznania) 20.00 Niebieski płaszcz — audycja muzyczno-literacka 21.00 Muzyka taneczna 21.45 Obrazki rybackie — fragm. z powieści 22.00 Koncert wieczorny Orkiestry PR.

**Sobota, dnia 3 lipca 1937 r.**

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert popularny w wyk. Ork. Reprezentacyjnej KPW. 16.00 Wesoła audycja dla młodzieży pt. „Koszyk śmiechu" 16.30 Koncert solistów 17.00 Orkiestra A. Hermana (z Krakowa) 17.50 Jeżów i dolina Mrogi — pogadanka 18.15 Imperio Argentina i tanga argentyńskie (płyty) 19.00 Muzyka lekka w wyk. Ork. Wileńskiej 20.00 Audycja dla Polaków z zagranicy pt. „Ostra Brama" 21.05 Chór revellersów PPW. 21.50 Wiązanka melodyj Benatzky'ego.

# H-U-M-O-R

### EKONOMIA

— Słuchaj, Moryc, czy w tym mieście ludzie mają dostateczną siłę kupna?

— Uj, siłę kupna to oni mają, ale nie mają siły płacenia.

### KŁAMSTWO

— Dlaczego nie bawisz się z Karolkiem?

— Bo on strasznie kłamie, mamusiu.

— Cóż takiego powiedział?

— A tak, spytałem się go czy ma braci, powiedział, że ma jednego, a jak potem spytałem jego siostrzyczkę, ilu ma braci, to mi odpowiedziała, że dwóch.

### SPOSÓB

W czasie głodu w Bolszewii zapytał ktoś jednego z komisarzy:

Co panowie przedsięborą w celu umniejszenia głodu?

— Nic, w miarę wymierania ludności, głód się sam stopniowo zmniejszy.

### EGZAMIN

Egzaminujący lubią niekiedy wyprowadzać z równowagi egzaminowanych, zadając im dziwaczne pytania. Pewnemu studentowi, który nie dał się niczem zbić z tropu, zadał pewien nowojorski profesor następujące dwa pytania:

— Jak długi jest sznurek i jak głęboko pies może wbiegnąć do lasu

Profesor uśmiechał się złośliwie, studenci oczekiwali z napięciem odpowiedzi młodzieńca, który jak dotąd, nie dał się niczem zaskoczyć. Młody człowiek pomyślał chwileczkę i odpowiedział z humorem:

— Ależ to zupełnie proste: sznurek jest dwa razy tak długi jak jego środek jest oddalony od jednego z końców. Co się zaś tyczy psa, to może on wbiec do lasu tylko do połowy, następnie już zacznie wybiegać.

### TRZEŹWA ODPOWIEDŹ

— Proszę pani, pani piesek ugryzł mnie w piętę.

— Cóż pan chce, gdzie miała pana ugryźć taka mała psina.

### TA NIE JEST PRZESADNA

— Nie podam ci ręki przez próg, bo z tego może wyniknąć kłótnia.

— Wstydź się być taka przesądna, przecież wystarczy ręce skrzyżować i stuknąć trzy razy w ramę drzwi, a nic złego się nie stanie.

### NIEZAWODNE LEKARSTWO

— Cóż to, Stanisławie, tak tutaj czuć wódkę — mówi pani do lokaja.

— Ach, proszę jaśnie pani, przyłożyłem trochę spirytusu na ząb.

— Dawno już Stanisławowi dokucza?

— Ach, od samej maleńkości.



Jazda po górach i dolinach bywa bardzo przyjemna...


PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie